Nr 44 (1606). Warszawa, 4 listopada 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Próba samodzielności ekonomicznej ludu.

Zwracaliśmy przed tygodniem uwagę na wielką doniosłość, w umysłowości ludu polskiego, przełomowego faktu, jakim było zbiorowe wystąpienie włościan z Kaliskiego przeciw gromom biskupim, miotanym z wyżyn katedralnych na idealy wyzwolenia, oświaty, braterstwa i postępu.

Wolność myśli, swoboda sądu krytycznego, wzniesienie powagi rozumu ponad powagę w hieratycznej pozie zastygłego władztwa — oto zasady, które pełnym i stanowczym ozwały się głosem w świadomości ludu.

Owe zasady, gdy się raz zrodzą w głowie człowieka, zyskują odrazu byt nieśmiertelny. Żadna ich przemoc nie stłumi. Pęd przeciwności i oporu, jaki je zwalcza, staje się dla nich jedynie wichrem, podbijającym skrzydła ich ku górze, iżby coraz szersze zataczały kręgi.

Myśl, która wyrwała się z krępującego ją pęta, duch, który w samodzielności dostrzegł własną wewnętrzną istotę, jedną mieć będzie odtąd drogę przed sobą: przejawiania tej myśli w czynie, wcielania tej swej istoty — w życiu.

Niechaj nikt się nie lęka, iż samokrytycyzm stanie się siłą burzącą.

Zasłony przesądu i ciemnoty, jakie z oczu włościan spadają, cóż im ukazują, jakież przed nimi otwierają perspektywy?

Czy perspektywy zniszczenia, burzycielstwa, zaprzepaszczania dóbr i zasobów zdobytych? — Nie! postokroć nie! Samokrytycyzm w zakresie życia ludowego, jak i wszędzie indziej, stwarza odrazu rezultaty pozytywne i dodatnie. Krytycyzm ten otwiera ludowi oczy na pole zadań, jakie przed nim leżą, wskazuje obszary pracy.

Przyrost uświadomienia w człowieku, to niewątpliwie przyrost jego praw, ale także, i to przedewszystkim, pomnożenie jego obowiązków.

Więc jeśli lud żąda wolności dla swej myśli, to dlatego, aby poszerzyć pole swej pracy, aby podnieść skalę swego czynu. Wolna myśl to dla niego jedynie zwiastunka wolnego, bogatego w plony, działania.

Te dwa czynniki, teorja i praktyka, myśl i działanie, nauka i ekonomika, ramię obok ramienia, walczą dziś społem o swobodę dla siebie, o samodzielność, o pełnię rozwoju w środowisku życia ludowego, na terenie wsi polskiej.

Życie umysłowe nie może osiągnąć wysokiego rozwoju bez jednoczesnego dźwigania się życia gospodarczego. Dwie te dziedziny, jeśli chodzi o nabytki trwałe, posuwać się muszą naprzód krokiem równoległym.

Ta to właśnie równoległość, ta zgodność ruchu w obu dziedzinach, rozwijająca się na gruncie ludowym, napawa nas otuchą niezmierną i żywi w nas owo przeświadczenie, iż przyszłość Polski wyrośnie z gleby chłopskiej, z pracy ludu.

Imponującym przejawem harmonji tej i zgodności dwu najżywotniejszych funkcji rozwoju jest uzupełnienie aktu wolności umysłowej, jakim był protest „zaraniarzy" na „list pasterski" biskupa włocławskiego, przez akt samoistności ekonomicznej, którym szereg włościańskich spółek mleczarskich łączy się w ludowy „Związek mleczarski", pod wybitnym hasłem: „Sami sobie". Hasło to znalazło niezaprzeczony i żywy odgłos w świadomości kilkudziesięciu włościan, zebranych na niedzielnym (29 b. m.)

zgromadzeniu przedstawicieli spółek mleczarskich w *Sali Muzeum Przemysłu*, celem powołania do życia rzeczonego „Związku". Napróżno członkowie Centr. Tow. Rolniczego usiłowali zagarnąć pod swą opiekę nowo-powstającą organizację przemysłową ludu, przekładając zgromadzonym korzyści, mające wypłynąć z połączenia się placówki drobnych wytwórców rolniczych z wielką wytwórczością obszarniczą.

Włościanie niezawodnie korzyści te oceniali, jednak na wszelkie propozycje oddania się pod egidę instytucji obszarnictwa rolnego, odpowiedzieli stanowczo: Nie!

Rozumieli oni, że poza interesem i zyskiem doraźnym, istnieją korzyści głębsze i trwalsze, natury nietylko ekonomicznej, ale i moralno-społecznej, które stawić należy najwyżej. Tym korzyściom na imię: samodzielność myśli, przejawiająca się w samodzielności czynu, niezależność woli i ducha, dla której wzrostu i uprawy szkołą najdoskonalszą atmosferą jedyną, bywają drobne, autonomiczne organizacje kulturalne, przemysłowe, spożywcze. W nich to lud nauczy się poprzestawania na własnych siłach, nauczy się rządzić organizmem swej pracy, przywyknie do odpowiedzialności za czyny własne i za czyny swego środowiska.

Płonne są (i jakże małoduszne!) trwogi tych, którzy w ruchu wzmagającego się usamodzielnienia ludu, upatrują zdrożny prąd rozbijania jedności narodowej. Na fali ruchu tego płynie żywioł twórczy, nie zaś rozkładowy: z ruchu tego wyłoni się przyszły twórca — budowniczy naszej doli dziejowej: rolnik, chłop-obywatel, o piastowskiej sile ramienia i nowoczesnej kulturze myśli.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Rewolucja w Chinach.—Wojna włosko-turecka.—Koniec sprawy marokańskiej.—Porażka klerykałów belgijskich.)

Z niesłabnącym zainteresowaniem przysłuchuje się świat odgłosom olbrzymiej burzy, szalejącej w Chinach, gdzie dynastja mandżurska Tsingów pospołu ze spróchniałym mandarynatem walczy rozpaczliwie i bez wielkiego powodzenia o przedłużenie nędznego swego żywota.

Lecz piorunujące sukcesy Południa, gdzie dyktaturę moralną sprawia dr. Sunjatsen, a władcą faktycznym jest jen. Lijuanhang, zwycięzca z pod Hankeu—nie przesądzają jeszcze sprawy. Rewolucja nie jest w Chinach pierwszyzną. Istnieje ona w tym kraju od wieków w stanie potencjalnym, jak pożar podziemny w opuszczonej kopalni. Zwłaszcza w kilku ostatnich lat dziesiątkach olbrzymi organizm imperjum wstrząsany był co chwila dreszczami gorączki. Kanton wywieszał trzykrotnie sztandar buntu w roku 1898, 1900, 1902, zaś w Junnanie srożyło się powstanie zbrojne w kwietniu 1908 roku. A wcześniej, w toku zeszłych stuleci, czyż nie tworzyły się na ziemiach chińskich samodzielne królestwa, które znikały po krótkim istnieniu? Niedawno jeszcze, wskutek powstania Tajpingów, dźwignęło się samodzielne państwo w państwie i żyło lat 12. Z tej więc racji należy stosować się i do współczesnych wypadków z pewną rezerwą.

Z drugiej jednak strony nie ma wątpliwości, że ruch rewolucyjny ma większe niż kiedykolwiek szanse powodzenia. Całe prawie Południe, a więc najbogatsza i najżyźniejsza dzielnica państwa, stoi po jego stronie. Dziesięć tysięcy młodzieży chińskiej, studjującej w Japonii, garnie się do Sunjatsena z niebywałym zapałem. A jest to przecież kwiat swego narodu. Wojsko całymi pułkami przechodzi na stronę powstańców, których popiera starożytny i rozległy, po całym kraju rozsnuty, tajny związek K o - M i n g - T a n g ó w, zaprzysiężonych wrogów dynastji. A trzeba zauważyć, że Chińczycy w sztuce konspiracji nie mają sobie równych. Wreszcie —rzecz bodaj najważniejsza—skarb rewolucyjny zasilany jest

9)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Ciąg dalszy).

I wtedy, z nieznanych sfer zaświata, na fali tych wspomnień przyszła do niego straszliwa świadomość miłości. Andrzej uczuł ją w piersiach, męczącą, ciężką jak kamień, fatalną i nieubłaganą. Prawie nie wiedząc, wyszeptał w duszę swoją: Och, kocham, kocham!... — i jak nieprzytomny, padł na otomanę, kryjąc twarz w dłoniach.

Od tej chwili cierpienia Andrzeja wzrosły jeszcze bardziej. Nędza, która przyszła w całej swej okazałości, brzemienna głodem i nienawiścią do życia, połączyła się z tęsknotą miłości. Poeta wyglądał jak cień, szedł ulicami, nie patrząc na nikogo, przesuwając się pod murem, jak żebrak, z oczyma zamglonymi, pełen martwej obojętności.

Widzieć ją, było jego jedynym marzeniem, przycisnąć do piersi — szczęściem ponad miarę! Lecz nie widział jej nigdy, jak również i Jana, chociaż o ile pani Emilji szukał, o tyle Rolla nie chciał spotkać, za żadną cenę. Codziennie wałęsał się po sąsiednich ulicach, zdaleka patrząc w jej okna, zasłonięte od gorąca. Był koniec sierpnia i Warszawa opustoszała. Andrzej drżał na myśl, że Emilja wyjechała. Tymczasem poeta wydał już wszystkie pieniądze i zaczął przymierać głodem. Sprzedał zegarek, otrzymany od Jana — i część pieniędzy oddał za mieszkanie. Resztę zużył na pożywienie. Lecz i te prędko stopniały. Wtedy zaczął sprzedawać, co się dało. Scyzoryk, stare ubranie, kilka książek. Były to zyski niezwykle małe. Poeta wreszcie udał się do kamienicy Górnickiego i sprzedał żydowi swoje dawne rzeczy, złożone tam w jakiejś piwnicy razem z kartoflami biednego szewca.

Widok potwornych gratów, pomalowanych pleśnią, cuchnących stęchlizną, chwycił Andrzeja za gardło. Miał wrażenie, że otworzył grób, w którym powinien się położyć — i umrzeć zakopany żywcem. Jego dawne życie buchnęło mu w twarz dławiącym smrodem — szarpiąc mu serce przerażeniem.

Czymprędzej sprzedał graty żydowi i wziąwszy pieniądze, uciekł do mieszkania. Rzucił się na otomanę i ścisnąwszy oczy palcami, jakgdyby je chciał rozgnieść — leżał kilka godzin jak martwy.

Wtedy, jak zawsze w chwilach wyszukanego nieszczęścia przychodziła myśl kusząca, uśmiechnięta, radosna, dziwnie łatwa: zabić się!... I nie odstępowała od niego, jak dobry przyjaciel-pocieszyciel, rozwi-

hojnie przez potężną chińską plutokrację, przez kupców i bankierów chińskich, rozsianych po Azji i Ameryce. W Ottawie serja odczytów Sunjatsena przyniosła 20 tysięcy dolarów. Wolnomularze chińscy z Vancouver, ludzie niezamożni, zebrali 100 tysięcy rubli. Pewien kulis z San-Francisco złożył na ręce Sunjatsena 2 tysiące rubli, cały swój majątek, uciułany w ciągu 30 lat najtwardszej pracy. Świadczy to wymownie, jaki bezmiar poświęcenia, inteligencji i zapału ma po swej stronie sprawa odrodzenia Chin. Ale czy to wystarczy, by niesłychaną, potworną masę chińskiego zastoju i despotyzmu z posad poruszyć? Czy tak olbrzymiego dzieła może dokonać genjusz jednostek, wcielony w najlepszą bodaj organizację?

Spiritus movens rewolucji, dr. Sunjatsen zdążył przekonać się czterokrotnie, że podjął brzemię, przechodzące siły ludzkie. W r. 1895, podczas wojny chińsko-japońskiej, stanął był w Kantonie na czele powstania, zalanego potokami krwi. Cudem uniknąwszy śmierci, tuła się zagranicą, by w r. 1900 podnieść ponownie sztandar buntu, również bez powodzenia. Niczym niezrażony, z nadludzką wytrwałością ściąga ponownie swoje szyki i w r. 1908, w końcu kwietnia, urządza na wielką skalę rodzaj rewolucji próbnej i osobliwą tę próbę ponawia w listopadzie tegoż roku... Zamiary swoje i cele wyłożył niepospolity ten działacz w broszurze: „Właściwe rozwiązanie sprawy chińskiej”, wydanej w r. 1904, gdzie powiada: „Przekupność i niedołęztwo mandżurskich rządów stanowią groźbę poważną dla światowej równowagi politycznej, bowiem torują drogę otwartą dla uroszczeń mocarstw do rozbioru chińskich terytorjów“. Stąd wniosek: odrodzenie i wzmożenie Chin jest sprawą pokoju powszechnego. Ale dzieła reformy nie mogą dokonać mandżurowie, kasta łupieżcza i dzika; należy go więc dokonać wbrew dynastji, przejmując za jednym razem z Zachodu ostatni wyraz techniki politycznej w postaci republikanizmu i radykalnych środków prawodawczych wobec kwestji społecznej. Rewolucja chińska jest więc zarazem narodowa, polityczna i społeczna, potrójne wystawiając hasło: niezależności Chin, rządów przedstawicielskich i ochrony pracy wobec monopolu bogactw. W tej formie dokonany, byłby przewrót chiński jednym z tych epokowych zdarzeń, jakie znaczą od czasu do czasu rozległy rozwój ludzkości.

Sytuacja na terenie wojny włosko-tureckiej jest w dalszym ciągu ta sama. Włosi zdobyli bez trudu główne miasta pobrzeżne (Trypolis, Derna, Benghazi, Homs), gdzie głównodowodzący jen. Caneva sprawuje dyktatorską władzę. Natomiast *hinterland* jest wciąż dla Włochów niedostępny. Z chwilą przybycia na plac boju dzielnego Enver-beja, jednego z herosów rewolucji, w szeregach tureckich duch zapanował lepszy, a i Arabowie czynny zaczynają brać udział w walce podjazdowej z Włochami. W tych warunkach wojna przedłużać się może bez końca, co bynajmniej nie odpowiada planom sztabu włoskiego. D. 26 paźdz. Turcy przypuścili szturm do szańców włoskich pod Trypolisem i zostali odparci po krwawej walce, przyczem Włosi ponieśli dotkliwe straty i zmuszeni byli cofnąć się z czołowych pozycji.

Po długich i pracowitych rokowaniach stanęła wreszcie ugoda w sprawie marokańskiej i w tych dniach ostatecznie będzie podpisana. Kosztem rekompensaty terytorjalnej w Kongo na mocy tego traktatu pozyskała Francja nareszcie prawo do rozciągnięcia swego protektoratu nad *całym* Marokiem, co uznać trzeba za tryumf dyplomacji francuskiej. Ugoda musi być jeszcze ratyfikowana przez wszystkie państwa, które podpisały traktat w Algeciras w r. 1906: a więc przez Austro-Węgry, Belgję, Hiszpanię, Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Włochy, Holandję, Portugalję i Rosję. Po dokonaniu tego aktu nastąpi z kolei nieunikniony konflikt pomiędzy Francją a Hiszpanią, która wbrew umowie z r. 1905 zajęła w Maroku miejscowości Rif, El-Ksar i Larasz.

Wybory do rad gminnych w Belgji były świetnym zwycięstwem zjednoczonych stronnictw lewicy nad koalicją klerykalną, wskutek czego upadek rządów klerykalnych, ćwierć wieku trwających w tym kraju, jest bardzo prawdopodobny, a nastąpić może w roku przyszłym na wyborach ogólnych. Główne miasta belgijskie — Bruksela, Antwerpia, Leodjum, Mons, Charleroi, Gandawa —stanęły po stronie wolnej myśli. Nawet Brugges, miasto „martwe“, nawet

---

jając cudowne perspektywy tego faktu. Bo właściwie co znaczy nieżyć? Czyż nie jest to szczęście odejść raz na zawsze od cierpień — i nie egzystować? Opuścić samego siebie, odsunąć się od parszywych trudów przyziemnego życia w nędzy — i pójść w zaświaty?

I przyszła chwila męki szalonej, kiedy poeta pragnął ją zobaczyć — i umrzeć! Dni głodu osłabiły, jakby odsunęły na chwilę jego namiętność do Emilji, lecz kiedy sprzedał ostatnie kilka książek i wrócił do domu najedzony i wypoczęty, świadomość piękności życia zmuszała go do ustawicznych myśli o samobójstwie. Było za pięknie, za rozkosznie na świecie, aby można było żyć w nędzy.

Wtedy to otrzymał list ze wsi Właścicielka majątku i dziesięcioletniego syna pisała, że „wobec tego, co zaszło u kuzynów, rozumie pan, że o kierowaniu moim synem nie może być mowy”. Krótko mówiąc, jedyna nadzieja, która go jeszcze wiązała z tym życiem, rozwiała się, jak dym.

Andrzej stał jak nieprzytomny, czytając raz po raz fatalne słowa. Litery łaziły mu przed oczyma jak robaki i wpijały się w mózg przejmującym bólem. „Nie może być mowy” — wyszeptał i usiadł, bo nogi ugięły się pod nim w trwodze szalonej.

Siedział tak, nie wiedząc, co zrobi za chwilę. Wreszcie postanowił odpisać. Miał to być list ostatni do świata!

Postanowił w krótkich słowach wyjaśnić, co się stało u Rollów a potym oznajmić, że schodzi z tego „padołu łez”. Lecz wzruszył ramionami, przypomniawszy sobie, że nawet nie zna tej damy — i że to ją prawdopodobnie nic nie obchodzi. Wtedy postanowił napisać list do Mili i oznajmić jej przed śmiercią że ją kocha i umiera dla niej. Wtedy przypomniał sobie, że taki list w rękach Jana byłby tylko potwierdzeniem jego nieuzasadnionych wówczas przypuszczeń i pogrążyłby Emilję w jeszcze większe podejrzenia... Wtedy załamał ręce z rozpaczą, gdyż samotność jego była tak wielka, że przed śmiercią nie miał do kogo napisać!...

Blady i smutny jak klown, który umiera w cyrku z twarzą pobieloną, wyszedł poeta z domu na ulicę. Był zmierzch i w niektórych sklepach zapalano lampy. Andrzej wlókł się powoli, apatycznie, ze śmiertelnym smutkiem w duszy, nabierając przeświadczenia, że niema już innego wyjścia, że *musi* skończyć ze sobą jaknajprędzej. Jedynym tylko pragnieniem było ujrzeć Emilję. Raz, raz jeden spojrzeć w te słodkie, niewinne oczy, zobaczyć te usta. Raz jeden objąć spojrzeniem, jak uściskiem jej postać kochaną i odejść! Lecz nigdy nie mógł jej spotkać mimo śmiesznej, naiwnej, lecz wzruszającej modlitwy, którą ułożył na jej cześć.

„Kocham Cię, kocham, a miłość moja jest jak ogień, który mnie pożera. Kocham Cię, Mila —

warownia klerykalistów Lowanium, gdzie przepadł sam Schollaert, b. premier i twórca projektu szkół klasztornych—są dla kościoła stracone.

Klęska to niebywała i zasłużona. Potężna fala energji twórczej zniósłszy rządy klerykalne we Francji, Włoszech, Hiszpanii i Portugalji, obecnie wzdyma się nad Belgją, gdzie dotąd niesłychana przewaga kleru jaskrawy tworzyła kontrast z nowoczesnym rytmem życia.

W poszukiwaniu drogowskazu.

IV.

Fatalne dziedzictwo.

Niezmierna trudność rozwikłania zagadnień naszego życia społeczno-politycznego, trudność nie tylko praktyczna, ale nawet teoretyczna, na co dotychczas u nas nie zwrócono uwagi, wprowadza do naszego życia czynniki, które tę trudność jeszcze pogłębiają.

Dziwić się nie można, a tym bardziej potępiać społeczeństwa za to, że uległo tragicznym warunkom swego życia i pozwoliło im znaleźć odbicie w swoich stosunkach wewnętrznych i w swej psychice. Ale właśnie pod wpływem tych warunków i ich następstwa, niskiej kultury umysłowej, wytworzyły się u nas nastroje i uczucia, przeważnie negatywne, które same przez się stanowią wielką trudność dla naszej myśli politycznej.

W pierwszym rzędzie wśród tych nastrojów postawiłbym zawziętość naszych walk partyjnych. Dzieduszycki uważa za to objaw ogólno-słowiański. Nie sądzę wszakże, aby to wynikało z charakteru rasy. Przypuszczam raczej, że działa tu położenie narodów słowiańskich, w ogromnej większości, pozbawionych niezależności państwowej.

Zdawało by się, że, wobec tej wspólnej, a najwybitniejszej sprawy, jaką jest zależność od obcych mocarstw, narody podległe powinny by się jaknajsilniej zjednoczyć, o ile możności łagodzić dzielące je różnice wewnętrzne.

Tego, logicznie zupełnie słusznego rozumowania, życie wszakze nie usprawiedliwia.

Oto widzimy bowiem, że jest inaczej, a według mnie z tych samych właśnie powodów, które logicznie zupełnie inne powinny by dawać rozwiązanie.

Walki partyjne istnieją wszędzie.

Naród niepodległy wszakże, żyjący w ustroju ustalonym, toczy spory przeważnie o sprawy poszczególne, wybuchając wtedy tylko, gdy chodzi o jakiś zwrot stanowczy w życiu, o jakieś zagadnienie zasadnicze, przełomowe, lub też o zmianę kierunku rządu, co znajduje wyraz w bardzo zawziętych nieraz walkach wyborczych.

Są to jednak wybuchy chwilowe, mijające razem z uregulowaniem sprawy. która je wywołała. Nie znaczy to, aby normalnie w państwach zachodnich istniały stosunki arkadyjskie. Na tle współzawodnictw partyjnych dotychczas rodzą się wszędzie nienawiści i wchodzą w grę środki czasami niecne, najczęściej poprostu ordynarne.

Ale nie jest to ani tak powszechnym, ani tak ciągłym, jak u nas, co, według mnie, jest przdewszystkim wynikiem naszej zależności państwowej i wypływającej z niej trudności rozwikłania zawiłych spraw naszego życia społeczno-politycznego, oraz specjalnego tych spraw charakteru.

Żadna z nich u nas nie jest ani drobna, ani narodowo i politycznie obojętna.

W splocie naszych stosunków życiowych wszystko jest tak powiązane, że najdrobniejsza sprawa dotyka najistotniejszych zagadnień narodowych. U nas niema prawie miejsca na rozumowanie, bo zawsze zadraśnięte są najgłębsze uczucia, najboleśniejsze strony bytu; niema takiej sprawy, któraby nie była związana z tragedją naszego położenia politycznego. A przy tym zagadnienia zasadnicze w całej swej rozciągłości są u nas ciągle na porządku dziennym.

Nadaje to szczególny kierunek naszym walkom partyjnym.

Przeciwnik polityczny, to nie jest dla nas człowiek innych przekonań, to przedewszystkim wróg ojczyzny. Uczucie, zadraśnięte przez działanie przeciwne naszym pojęciom o dobrze kraju, pojęciom, które ze względu na swój przedmiot, stają się głęboką, fanatyczna wiarą, wzbudzają nienawiść, dochodzącą często do nieświadomego okrucieństwa. Od lat wielu toczy się u nas taka zasadnicza walka pomiędzy polityką ideałów i polityką realną w najszerszym znaczeniu i na tle tego właśnie przeciwieństwa, wyra-

---

i chciałbym umrzeć w promieniach Twoich spojrzeń! O, daj mi jeden uścisk swoich białych dłoni i pozwól przycisnąć moje usta do twoich ust, które są, jak róże rozkwitłe w blaskach złotego wschodu!..."

Mówił to, chodząc zabłocony po obojętnych ulicach. I nigdy nie mógł jej spotkać! Natomiast razu pewnego ujrzał o kilka kroków idącą naprzeciw niego pannę Brauman. Stara panna dreptała pobożnie, schyliwszy głowę ku ziemi, zapatrzona na krzyżyk książki do nabożeństwa, jak zawsze trzymanej w ręce! Zbliżając się do Andrzeja, spojrzała na niego z tryumfem; w jej złych, chytrych oczach zapalił się zgniły ogieniek radości. Poetę, jakby coś szarpnęło za serce. Oto szedł widomy znak jego nieszczęścia—i w twarzy trupiej niósł nienawiść do wszelkich piękności życia. Za chwilę przesunie się koło niego i powie mu do ucha: „Masz za swoje rozpustniku". Andrzej czuł, że gdyby to się stało, nie potrafiłby zapanować nad sobą. Przystanął, patrząc z głęboką, jadowitą, sięgającą wnętrzności, nienawiścią. Stara panna, zobaczywszy to, szybko zaczęła przechodzić na drugą stronę, pokazując wykrzywione, prunelowe pantofle.

Poeta zaśmiał się nieprzytomnie i zaczął jej wygrażać pięściami, wołając na całe gardło:

— Uciekaj, stare próchno, uciekaj! Nie uciekniesz przed śmiercią żmijo jadowita... bo cię za twoje miłosierdzie szlag trafi napewno!...

Odprowadzony ironicznym spojrzeniem przechodniów, którzy go mieli za pijaka, poeta powlókł się do mieszkania. Tu zastał gospodynię, która mu w ostry sposób powiedziała, żeby się wyprowadził, gdyż ona jest biedna wdowa i nie może trzymać lokatorów, zalegających z komornem. Andrzej tylko uśmiechnął się pobłażliwie i powiedział: dobrze!. . Uspokojona wyszła a poeta zaczął przeglądać swoje kapitały. Właściwie nie było ich wcale — z kieszeni wypadło kilka miedziaków, które razem wynosiły 20 kop.

Przerażony tym odkryciem, zabrał się do przeglądu i porządkowania swoich papierów. Miał mnóstwo przeróżnych szpargałów bez wartości, złożonych w niewielkiej skrzynce, z którą się nigdy nie rozstawał. Usiadł na ziemi koło niej i wolno zaczął wyjmować list za listem przeglądając, lub bez czytania rzucając na stos, przeznaczony do spalenia! Były tam przeróżne pamiątki przeszłości jeszcze z czasów uczniowskich — wstążeczki, zeschłe bratki, wycięte wiersze, kilka pornograficznych fotografji i kilka książek francuskich treści niezwykle nieprzyzwoitej...

D. N.

stają bezwątpienia najjaskrawsze antagonizmy, dzielące jednostki i stronnictwa.

Nietylko jednak charakter naszych spraw publicznych powoduje tę zaciekłą partyjność. Przyczynia się do tego i słaby rozwój naszych stronnictw politycznych, wskutek czego zróżniczkowanie partyjne dalekie jest od możliwego kresu.

Bardzo często słyszy się u nas narzekania na rozdrobnienie społeczeństwa; narzekania te wszakże oparte są na nieporozumieniu.

Teoretycznie stronnictw u nas powinno by być więcej (por. Dr. I. Schollenberger. Politik in systematischer Darstellung. Berlin, 1903. str. 84 i nast.) i w porównaniu np. z Niemcami lub Francją, pod względem podziału na partje, jesteśmy bardzo ubodzy. Wskutek tego zachodzą pomiędzy nimi rażące różnice, których nie może złagodzić istnienie stronnictw pośrednich. Stronnictwa takie wymagają wysubtelnienia różnic, które dać może tylko wysoka kultura polityczna, a tej nam brak dotychczas.

Z wyłączongo między innymi istnienia u nas stronnictw krańcowych, płynie powszechność i ciągłość naszych walk partyjnych, którym towarzyszą zresztą nieustanne zatargi i w łonie samych stronnictw, oraz ta atmosfera kłótliwości i nieżyczliwości wzajemnej, która już wszystkim tak dokuczyła.

Nic dziwnego, że w tej atmosferze zalewa nas olbrzymia fala zwątpienia, pesymizmu, że ta atmosfera wytworzona przez warunki naszego życia, a pełna pamięci o tylu nieziszczonych nadziejach i bezpłodnych wysiłkach, myśl naszą zaprawiła goryczą, że społeczeństwo uległo przeszłym i obecnym swym dziejom, oduczyło się spostrzegania i straciło wiarę w istnienie twórczych pierwiastków, które posłużyć mają do budowy naszej przyszłości

Pesymizm, jako negacja istnienia dobra, jako rezygnacja wobec przewagi warunków niepomyślnych, rezultat lenistwa umysłowego i słabości woli, znajduje silne poparcie w ubóstwie kultury umysłowej, które go podsyca, dopomaga do jego wzrostu.

Do pesymizmu prowadzi myślenie niższego gatunku.

Wiadomo, że człowiek widzi w świecie zewnętrznym to tylko, co posiada w sobie, że zjawiska, wchodząc do naszego umysłu, przełamują się przez pryzmat naszych pojęć i stałych kategorji myślowych. Stół, szklankę, dom każdy z nas spostrzega i rozumie według swych gotowych uogólnień.

Gdyby każde nasze wrażenie stanowiło dla nas przedmiot nowego poznania, było by ono zupełnie niemożliwym. Świat zewnętrzny jest odbiciem tego, co już o nim wiemy, i każdy w świecie zewnętrznym spostrzega i widzi to tylko, co ma w sobie. Nowe poznanie stanowi powiększenie ilości istniejących już w naszym umyśle kategorji myślowych.

W stosunku do zjawisk społecznych dzieje się to tym bardziej, że nie dochodzą one do nas, jako wrażenia bezpośrednie, ale zawsze, jako abstrakcja, a więc rezultat pracy myślowej, która musi nosić na sobie piętno przeważnie sub ektywne.

Otóż tak, jak w postrzeganiu przedmiotów zmysłowych, nasze sądy o nich zależne są od naszych gotowych pojęć i kategorji, do których przystosowujemy odbierane wrażenia zewnętrzne, tak samo i w spostrzeganiu zjawisk społecznych, przystosowujemy je do naszych gotowych pojęć, a więc przekonań, dążności, pragnień.

Najłatwiejszą, instynktowną, niemal automatyczną zatym robotą umysłową, jest spostrzeganie podobieństw i różnic danego zjawiska z mojem o niem pojęciem. A przytym spostrzeganie różnic jest jeszcze łatwiejszym, a przynajmniej bardziej uderzającym, niż spostrzeganie podobieństw. Podobieństwo zjawiska z mojem o niem pojęciem nie sprawia mi żadnego cierpienia, nie porusza mojej równowagi wewnętrznej. Nie przedstawia mi się ono jaskrawo, nie uderza swoją odrębnością. Tym się tłómaczy, dla czego zbrodnia więcej interesuje ludzi, niż cnota. Ostatnia jest w zgodzie z naszymi pojęciami o moralnym obowiązku człowieka i dla tego przechodzi bez wrażenia, gdy występek i zbrodnia przeczą naszym pojęciom, żywo poruszają myśl naszą,

Dla tego też sądy o zjawiskach życia, a w szczególności o zjawiskach społecznych zawierają w sobie przeważnie ocenę tych zjawisk ze stanowiska różnic i podobieństw z naszymi o nich pojęciami, ze stanowiska przyjemności lub przykrości, które to podobieństwo lub różnica nam sprawia, co oznacza się przez wyrazy: dobre lub złe, pożyteczne lub szkodliwe, piękne lub brzydkie, śmieszne lub podniosłe lub t. p.

Sądy takie, sądy o wartości stanowią najelementarniejszą, najprostszą formę oceny zjawisk. Jest to norma, że się tak wyrażę, życia codziennego. Bardzo mało nauczy nas o danym zjawisku wiadomość, jak ono się godzi z pojęciami pana A lub B, bardzo mało to wzbogaci poznanie nawet samych panów A lub B.

Nie będziemy stąd nic albo b. mało wiedzieli o stosunku danego zjawiska do innych zjawisk, o przyczynowym między niemi związku o jego znaczeniu w całokształcie mniej lub więcej szerokiej sfery świata, i t. d. Otrzymane tą drogą wiadomości zapoznają nas raczej ze stosunkiem uczuciowym panów A lub B do danego zjawiska, niż z samym zjawiskiem.

Dopiero poznawcza skłonność człowieka popycha go do badania, budzi w nim wątpliwości co do własnych wrażeń i myśli.

I jakkolwiek człowiek przed subjektywizmem obronić się nie może w zupełności, usiłuje to uczynić, tylko bowiem poznanie możliwie objektywne zadowolić może skłonności poznawcze umysłu ludzkiego. Zadanie to spełnia nauka i filozofja. Nie znaczy to, aby te skłonności nie istniały po za niemi. Przeciwnie. Istnieją one w mniejszym lub większym stopniu w każdym, najprostszym nawet umyśle. Każdy człowiek chce poznać zjawisko, o którym sądzi, i wierzy, że sądy jego odpowiadają objektywnej rzeczywistości.

Jeśli najczęściej tak nie jest, wynika to z braku samokrytyki, świadomej oceny wartości swoich spostrzeżeń i myśli, wreszcie, co najważniejsza, z braku odpowiedniej metody.

Wynika także z braku potrzeby, celem bowiem sądów subjektywnych nie jest poznanie, ale czyn, o czym mówić będę poniżej.

I nie to jest złe, że istnieją u nas sądy przeważnie, jeśli nie wyłącznie subjektywne, bo one przeważają wszędzie i przeważać muszą, ale to jest złem, że są one wyłącznie negatywne, że nie przynoszą żadnej iskierki nadziei, żadnej radosnej myśli, że nie wskazują tych dodatnich pierwiastków życia, na których by przyszłość budować można.

Wyłączność negacji istnieje u nas oddawna i przed wielu laty na objaw ten zwracałem już uwagę (*Gazeta Handlowa*, Nr. 1 z 1903 r.). Od owego czasu coraz więcej utwierdzałem się w przekonaniu, że wymyślanie i potępianie wszystkiego i wszystkich, choć w najlepszej wierze żadnej nie przynosi korzyści społecznej, a stanowi pierwiastek rozkładowy naszej myśli i naszego życia.

Na tle tej negacji i pesymizmu, bujnie rozrasta się pewien cynizm polityczny, to lekceważenie wszystkich usiłowań i ludzi, którzy podejmują pracę w dziedzinie polityki, to lekceważanie działania politycznego wogóle...

Trzeba wychować nowe pokolenia, które odczuje kłamstwo negatywnego kierunku naszej myśli, które szukać będzie w życiu tego, co jest piękne i dobre, służyć zatym może do budownictwa społecznego, a nie będzie się lubowało w rozgrzebywaniu brudów i plugastw, które przedewszystkim odrzucić należy. Bo

i w naszym pesymizmie, i w naszej negacji, i w naszej zaciekłości partyjnej, jest przedewszystkim kłamstwo.

Nie głupota, zło, zbrodnie, rozpusta, nienawiść zrobiły ludzkość tym, czym ona jest dzisiaj. Naszą świetną bezwątpienia teraźniejszość budowały cnoty, a nie występki. Jeśli zwalczanie ich było i jest potrzebnym, to nie może być ono ani głównym, ani tymbardziej jedynym naszym zadaniem; jest ono pomocą dla zadania głównego, stanowi ważną czynność drugorzędną, ale nie może być ani samo dla siebie celem, ani tworzyć przyszłości społeczeństwa.

I oto staje przed nami, jako elementarny warunek jakiegokolwiek programu politycznego, konieczność otrząśnięcia się z tych wszystkich skutków naszego położenia, które skaziły myśl naszą, obezwładniają wolę.

Dopóki nie nauczymy się odnajdywać w naszym życiu społecznym pierwiastków twórczych i dodatnich, dopóki damy się unosić pesymizmowi, a w życiu widzieć będziemy tylko głupotę, i występek, dopóki nie nauczymy się szanować swych przeciwników i obok tego, co nas dzieli, spostrzegać także tego, co nas łączy, dopóty na żaden racjonalny program, nietylko ogólno-narodowy, ale nawet partyjny nie zdobędziemy się nigdy.

Józef Lange.

Z dziejów czasopiśmiennictwa.

2)

(Dokończenie).

Doprawdy, nic smutniejszego, w swej nagiej, męczeńskiej prostocie, nie znajdziemy w całej przeszłości naszej, niźli te krótkie kataklizmowe chwile, w których naród z wyżyn samoutwierdzenia swego bytu staczał się na samo dno prostracji i obezwładnienia. Chwile te, jak czarne, żałobne, puste jamy znaczą, na przestrzeni XIX stulecia, niezapełnione dotychczas przedziały i wyłomy w świadomości narodowej.

Jak złowieszcze są chwile owe, gdy milczą! Jak straszna jest ich mowa, gdy milczeć przestają!

Posłuchajmy na chwilę. Zatrzymamy się dla przykładu na kataklizmowym roku 1831. Wsłuchajmy się na chwilę w zmianę tonu i treści, jaka wówczas odbiła się na pismach radykalnych, jak *Gazeta Polska*, która nie o wiele przeżyła upadek Warszawy. „Jeszcze dnia 3-go września—podaje nam Kucharzewski w suchej notatce kronikarskiej — *Gazeta* zamieściła była piorunujący artykuł przeciwko przyjmowaniu przebaczenia i amnestji od Mikołaja I, po upadku zaś Warszawy, nie chcąc zniżyć się do łżenia upadłego powstania, zmuszona jest mówić o rzeczach najobojętniejszych i śmiesznie błahych. W N-rze z dnia 20 września, gdy jeszcze pułki polskie stały pod bronią w kraju, znajdujemy w *Gazecie* studjum o g r a d z i e i rozprawę o C h i ń c z y k a c h... W tymże n-rze zwraca na siebie uwagę typowym stylem policji rosyjskiej skreślona notatka o wydanym przez władzę zakazie chodzenia po ulicach wieczorem bez latarni, światłem opatrzonej... W n-rze z dnia 23 września spotykamy rozprawę O m a l o w a n i u n a s z k l e w e F r a n c j i".

— Oto, po kilkunastu miesiącach burzy dziejowej — czyni uwagę p. Kucharzewski — mamy przedsmak tej ciszy i martwoty, jaką zaprowadzą odtąd rządy policyjne!

Ale, obok przedsmaku niewoli, jaki dają nam słowa powyższe, są w nich jeszcze rzeczy gorsze, rzeczy tak okropne, jak śmiech szkieletów, ścigający uszy obłąkańca...

Ten lekki ton pogody, swawola prostych słów, na powierzchni życia igrająca, gdy kraj cały walił się w przepaść, ta na wierzchu cisza obojętna, pod którą rzeki krwi płynęły w łożyskach rozpaczy: zali to dostatecznie nie świadczy, że mamy poza sobą jakieś krwawe strzępy dziejowe, ale historji, we właściwym rozumieniu słowa tego, nie mamy?

Dopiero świadomy, celowo podjęty wysiłek sprawić może, że strzępy owe, żywiołowo poszarpane, zrosną się i scalą w proces historyczny; stąd pożytek i doniosłość niezmierna wszelkich prób ujęcia przeszłości, które dają nam możność przerzucenia mostów nad wyłomami historji. Jednocześnie pozwalają nam one z powierzchni błahego szczebiotu zstąpić do głębi istotnych przeżyć narodu.

Któż, bowiem, zaprzeczy, że rozprawa o C h i ń c z y k a c h, lub o m a l o w a n i u n a s z k l e w e F r a n c j i, nie była wyjątkiem w dziejach porozbiorowych? któż nie przyzna, że niemowlęce gwarzenie pism na tle wielkich klęsk i nieszczęść narodowych stało się jakoby symbolem, wyobrażającym dwoistość naszego życia i myślenia? Pod skorupą lodowej obojętności ukrywające się zarzewie tłumionych sił, porywów, tęsknot i usiłowań, czyż nie taki jest przekrój każdej niemal chwili naszego życia?

Skroś owe s z k ł o, m a l o w a n e w e F r a n c j i, które się zjawia tak niespodzianie na łamach pism polskich w dniach pogromu, należałoby spojrzeć, może, na wiele, wiele tematów, pochłaniających nasze dziennikarstwo, na wiele dyskusji, toczonych w nim długo, rozwlekle i bez skutku, na owe kroniki uczt, zjazdów rodowych, uroczystości liliputcich, jubileuszów i ustawicznie ponawianych rocznic. Ilekroć zaszumi zawierucha zdań, ścierających się wokół jakiejś sprawy drobnej i nikłej, ilekroć łamy gazet rozbrzmiewają od swarów, miotając strzały z pierza w tarczę z pajęczyny, zawsze prawie można się domyślać, że gdzieś w głębi kona jakiś szmat zdławionego życia, że gdzieś w dali kruszy się jakaś budowa, rozpada się jakiś fundament.

Czy pamiętacie wir, uniesienie i zapał temparamentu, z jakim rozhulał się karnawał w pamiętnym roku 1907, wybijając takt pieśni Chochołowej na posadzkach salonów i na łamach dzienników?

Czy ten wybuch temperamentu naprawdę znamionował bujność i żywotność instynktów, nagle tamy wszelkie zrywających?

Tak sądzić mogły i tak sądziły rzeczywiście, otumanione oparem szału, efemerydy dziennikarstwa, chwytające gwar, śmiech, pustotę, muzykę i mozajkę chwili na klisze swych migawkowych zdjęć rannych i wieczornych. Ale historyk, który kiedyś okiem sięgnie w głębinę podziemną zdarzeń owoczesnych, pojmie, że zjawiska widziane na powierzchni, aczkolwiek jaskrawe i głośne, nie miały same w sobie uzasadnienia, nie zawierały w sobie rzeczywistości samostarczalnej: istotą chwili ówczesnej było to, że czyjeś ofiary wdeptano w ziemię, że czyjaś męka poszła na marne, że czyjaś krew jałowo wsiąkała w piasek, broczące z ran otwartych, śród głuchego milczenia przegranej; więc, że ta krew nie mogła kląć i wołać, ale z ran otwartych ciekąc, przepadała bez echa, że nie mogła bić piorunami, ale pokornie i beznadziejnie gasła w ciszy, tedy śród murów odrętwiałej stolicy jął budzić się ów ruch pozornego życia i zgiełku, ażeby ścianą, niby przegrodą, stanąć między świadomością żywych a ciszą poległych; bowiem lękano się tej ciszy, której tchnienie mrożące wdzierało się do serc i sumień, lękano się pozostać z nią sam na sam, spojrzeć oko w oko własnej klęsce.

Ileż organów naszej prasy, minionej i obecnej, zaczerpnęło ducha właśnie z takiej atmosfery lęku, trwogi panicznej przed pozostaniem sam na sam z rzeczywistością? Nietylko beletrystyka służy u nas celom pokrzepienia. Do roli pocieszycielki strapionych poczuwa się również prasa. Przeważną sumę wysiłku zużytkowywa ona na to, aby zagadywać nie-

szczęścia społeczne i narodowe; w małym tylko stopniu przyczynia się do ich wyjaśnienia, w jeszcze mniejszym — do niesienia ratunku.

Gdy pod naciskiem wewnętrznej lawy ukrytej rozpęka, w godzinie przełomów historycznych, zimna skorupa powierzchni, otwierając nagłą perspektywę w głąb pokładów społecznych życia zbiorowego, wówczas motylkowe organy pokrzepienia, usiłujące rany narodu leczyć balsamem ulud i. . zapomnieniem, giną lub mdleją, jak gołębie nad falą pożaru, natomiast występują ludzie oraz idee, gotowe brać się za bary z najsurowszą rzeczywistością, i walczyć z nią pierś przeciwko piersi

Oto, dzięki pracy pana Kucharzewskiego, leżą przed nami jak na dłoni, dzieje *Kurjera Warszawskiego*. Dziennik ten tak zrósł się z naszym miastem, z widnokręgami codziennych jego wiadomości i wiadomostek, że, zdawałoby się, tkwi gdzieś mocno w potrzebach rzeczywistego życia; a tymczasem historja wskazuje, że rola jego, w istocie, zasadza się nie na służeniu potrzebom, ale na uśmierzaniu głosu tychże potrzeb nie rzeczywistością on żyje, ale zagadywaniem rzeczywistości. Rad powołuje się on na swe siwe włosy i długie lata doświadczeń. Istotnie jest on staruszkiem dziewięćdziesięcioletnim, atoli jakie były jego czyny w młodości, jakie w wieku dojrzałym?

Wydała go na świat stagnacja, trwająca od roku 1821 do 1825, ów smutny okres, gdy odważne i otwarte poruszanie spraw politycznych i narodowych w pismach okazało się niepodobieństwem, a powszechna uwaga właśnie ku tym sprawom się zwracała. Założony przez Kicińskiego, *Kurjer* od kolebki już wystrzegał się własnych sądów i rozumowań, dając jaknajwięcej anegdot, błahostek, nowin i zabawek. Dusza tego pisma zrodziła się nie z wichru wolnej przestrzeni, ale z przyzwalającego na istnienie jej mrugnięcia powiek wielkorządcy. Unikając wygłaszania wyraźnych opinji, zaspakajając codzienną ciekawość dużego miasta, mogło ono istnieć i rozwijać się pomyślnie wśród ciężkich warunków politycznych; przykład 1831 roku okazał nawet, że wśród ożywienia politycznego pismo to właśnie traciło popularność. „Szedł *Kurjer* raz utorowaną drogą, z ukłonami na wszystkie strony, z pochwałami dla wszystkich i uśmiechem. — mówi F. M. Sobieszczański: — *Kurjer* od początku nikogo nie łajał, nic nie ganił, z nikim się nie wadził". Czasu powstania listopadowego trzymał się *Kurjer* polityki, którą trafnie scharakteryzował Leon Zienkiewicz zastosowaniem znanego przysłowia: „Jakikolwiek jest los Polski, zawsze pisze wiersze Molski". Zbierając skrzętnie na bruku warszawskim wszelkie pomyślne wiadomości od wojska, karmił nimi swych czytelników. Zabranie lub porażenie kilku kozaków równie podnosiło jego patrjotyzm nieoznaczony, jak Grochów lub Wawer".

Gdyby świadkowie owych niemowlęcych pierwszych kroków *Kurjera* mogli widzieć go dzisiaj, przekonaliby się, że... jakikolwiek jest los Polski, nie przestaje pisać Molski.

Charakter, jaki cechował czasopiśmiennictwo ówczesne, pozostał do dnia dzisiejszego. Dwoistość życia narodowego ukształtowała dwa odrębne oblicza prasy. Gdy jedno odbija poważne, surowe zagadnienia bytu i rozwoju historycznego, oblicze drugie tonie w pustocie wrzawy, jaka co rano się rodzi, i co wieczór kona na ulicach miasta.

Są pisma, które w ciągu jednego roku, lub miesiąca potrafią dorość do ramion stulecia.

Są, natomiast, inne, które istnieć mogą lat sto, nawet dwieście, a mimo to, nigdy starsze nie będą nad dwadzieścia cztery godzin.

W. Rzymowski.

Listy z Krakowa.

X.

(Kraków jako centrum emigracyjne. Polskie Towarzystwo emigracyjne).

Październik należy wprawdzie do miesięcy martwych w ruchu emigracyjnym, ponieważ emigranci sezonowi powracają przeważnie po ukończeniu wszystkich robót polnych. Przewiduje konieczność zatrzymania ich dłużej prawodawstwo niemieckie, które,w obawie przed osiedlaniem się na stałe polaków, nakazuje im opuszczać granice niegościnnego swego państwa przed 20 grudnia, a przyjeżdżac pozwala dopiero po 1 lutego. Jak wiadomo zaś olbrzymia większość naszej emigracji zarobkowej zwraca się dotychczas do krajów niemieckich. Tamy temu wychodźtwu nie udało się dotąd postawić czynnikom zajmującym się ruchem emigracyjnym w Galicji, a kompetentne w tej sprawie osobistości, jak np. dr. Caro twierdzą, że z wychodźtwem zarobkowym do Niemiec przez długie jeszcze lata liczyć się trzeba. Emigrantów naszych bowiem, których rodzinne stosunki nie pieściły, nie odstrasza ani wyzysk, ani złe warunki mieszkań i wiktu, ani nadużycia agentów, sprzedających wprost robotników naszych przedsiębiorcom. [1])

W roku bieżącym jednak ruch powrotny już się rozpoczął, ponieważ z powodu gorącego i suchego lata zbiory ziemiopłodów zostały wcześniej w wielu miejscach ukończone. Pierwsi jak zwykle powracają ci, którzy ulegli na obczyźnie jakiemuś nieszczęściu i powracają piechotą, wielokroć boso i o żebranym chlebie. Za nimi idą inni, przybywający kolejami z niezbędnym tobołkiem w jednym i kuferkiem w drugim ręku i pewnym zasobem zarobionej gotówki.

Ożywił się również od kilku tygodni ruch wychodźczy do Parany, płynący obecnie z pomiędzy służby folwarcznej z gubernji Siedleckiej i Lubelskiej, doszła tam bowiem wiadomość, że bezpłatny przewóz emigrantów ma być wstrzymany. Istotnie wyszło we wrześniu podobne rozporządzenie rządu brazylijskiego, ponieważ na razie niema wymierzonych *lotów* (działów gruntu), przez co emigranci byliby narażeni na wyczekiwanie, a rząd na koszta, wynikające z ich żywienia. Natomiast w dalszym ciągu trwać będzie bezpłatny przewóz do stanów brazylijskich Minas Geraes, Sta Catharina i Rio Grande do Sul. Po za tym z powodu zatargu między rządem włoskim i argentyńskim i zakazu emigrowania tam dla Włochów, wytworzyły się bardzo korzystne warunki sezonowego wychodźtwa do tego kraju dla naszych robotników. Argentyna potrzebuje w tej chwili koło 130 tysięcy robotników, bo inaczej zboża nie będą mogły być sprzątnięte z pól.

Emigranci, którzy wybierali się do Parany, zatrzymują się przeto w Krakowie, przed powzięciem ostatecznej decyzji. Charakterystycznym jest, że wiele par narzeczonych korzysta z tego czasu, aby zawrzeć małżeństwa, które odbywają się na gruncie krakowskim. Slubów tych nie chciano im udzielić w Królestwie z powodów łatwo zrozumiałych, że zaś stadła małżeńskie otrzymują bezpłatną podróż, a wychodźcy pojedyńczy płacić muszą koło 200 koron, tłomaczy to iście amerykański pośpiech.

Te wszystkie tranzakcje przesiedlania i sprzedawania siły roboczej, zarówno przez lud z Królestwa jak i z Galicji,ześrodkowują się w Krakowie. Na dworcu kolejowym w naszym mieście zarówno wczesną wiosną, jak i późną jesienią zbierają się tłumy

[1]) Ostatnio warunki te stwierdzone zostały w dziele D-ra A. Knoke — Ausländische Wanderarbeiter in Deutschland. r. 1911.

wychodźców, a ważne dla ruchu wychodźczego *Polskie towarzystwo emigracyjne* tu założyło stałą swoją siedzibę.

Pomimo, że instytucja ta liczy dopiero trzeci rok właściwego istnienia warto się z nią zapoznać ponieważ, jak się zdaje, wprowadziła sprawę opieki nad wychodźtwem na racjonalne tory.

P. T. E. oparte jest na statucie stowarzyszeń zarobkowo-gospodarczych, a początkowe swoje fundusze zdobyło drogą udziałów przeważnie stukoronowych. Kapitały jego jednak są tak drobne, że tylko roczne subwencje dochodzące także niewysokiej sumy 25 tys. koron umożliwiają działalność.

P. T. E. stoi na gruncie bezpartyjnym, jest solą w oku dla wielu ajentów pokątnych; bywa, przeto wielekroć zwalczane i nie jest popierane dostatecznie. Pomimo to, dzięki poparciu materjalnemu swego prezesa d-ra Hupki i energji dyrektora p. Okołowicza potrafiło się zaopiekować 10 tysiącami emigrantów, posiada pierwsze w Galicji schronisko noclegowe w Krakowie na 100 łóżek, prowadzi oddział pośrednictwa pracy, bezpłatne biuro porady prawnej dla emigrantów, oddział asekuracyjny, udziela informacji, spełnia zlecenia, a nawet podejmuje wśród emigrantów pracę oświatową.

Początkiem działalności było założenie pisma *Polski Przegląd Emigracyjny*. Ponieważ *Przegląd* nie jest pismem popularnym wydawane są corocznie kalendarze emigracyjne, słowniki, odezwy, komunikaty, wygłaszane odczyty. Celem tych wydawnictw i przemówień jest kierowanie emigracji zarówno stałej jak i zarobkowej do właściwych terytorjów i pouczanie ludu o najważniejszych trudnościach, jakie go na obczyźnie spotkać mogą. Dopomagają w tym również informacje, udzielane listownie i to bardzo liczne. W r. 1910 np. udzielono ich 6820, z czego 25% przypadało na Królestwo i Litwę.

Ponieważ jedno centrum w Krakowie nie wystarcza, utworzono filję we Lwowie, a ostatnio i Brzeżanach. Istnieje także filja P. T. E. w Nancy, która opiekuje się młodym wychodźtwem polskim do Francji. Dla wychodźtwa zarobkowego bowiem P. T. E. przeciwstawić się stara rynki pracy w Austrji i we Francji, niemieckiemu rynkowi.

Dotychczasowe trzyletnie próby skierowania wychodźców do Francji nie dały wprawdzie wielkich rezultatów liczebnych, przekonały jednak, że emigranci nasi znajdują tam wyższe zarobki i całoroczną pracę.

Korzystnie przedstawiają się również początki emigracji do Czech, Moraw, Austrji Dolnej i Górnej, Karyntji i Styrji. P. T. E. pośredniczy przy układaniu warunków pracy, w czym bierze również udział galicyjski wydział krajowy, oraz wydziały krajowe odnośnych krajów. Na Śląsk emigranci nasi niechętnie emigrują z powodu pracy w kopalniach

Brak miejsca nie pozwala mi charakteryzować różnostronnej działalności P. T. E. Powrócić tu przecież muszę do Schroniska noclegowego dla wychodźców, które urządzonem zostało w Krakowie w domu własnym, kosztem 165 tysięcy koron. Wszelkie kategorje wychodźców bez względu na narodowość i wyznanie mają prawa korzystać ze Schroniska, o ile nie pochodzą z Krakowa lub blizkiej okolicy. Opłata nominalna wynosi pół korony od łóżka, niezamożni otrzymują nocleg darmo. Ostatni są w tak przeważającej liczbie, że w 1910 r. udzielono 4752 noclegi, z których tylko piątą część za opłatą.

Czyste, wygodne łóżka, oddzielne sypialnie dla mężczyzn i kobiet oraz wspólne dla rodzin, kąpiele, oświetlenie elektryczne, bibljoteka złożona z kilkuset tomów — powinnoby, jak się zdaje, być cenione przez wychodźców. Tymczasem dyrekcja uskarża się na niechlujstwo pasażerów, a nawet na przywłaszczanie sobie koców i ręczników. O przymusowej zaś kąpieli i dezynfekcji garderoby myśleć nie można, bo niestety niekąpanie się należy często, zwłaszcza u kobiet, do kanonu przyzwoitości.

Ci nasi odważni podróżnicy, obieżysasi (wychodźcy zamorscy należą już do zamożniejszych) to biedacy najniższej kategorji, którymi społeczeństwo zajmuje się gdy odjeżdżają w dalekie kraje, a których zaniedbywa po za tym. I to się mści pod postacią specjalnego złego przyjęcia jakiego tak często doznają zagranicą.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

BADANIA NAUKOWE.

Oligarchiczne dążności w demokracji współczesnej.

3)

(Dokończenie).

Nad problemem stosunku przywódcy do masy zastanawiano się już niejednokrotnie. Starano się też stworzyć środki zapobiegawcze, by nie dopuścić do rządów oligarchicznych przywódców. Niektórzy chcą widzieć taki środek w referendum i prawie inicjatywy

Demokratyczne partje zupełnie jednak nie przyjęły powyższej zasady dla rozstrzygania spraw własnych, pominąwszy wyjątkowe przypadki. Niektórzy teoretycy poddają ten system ostrej krytyce, a są i tacy, którzy wprost oświadczają, że nie można kierownictwa partji skazywać na pastwę kaprysu masy.

Niektórzy proponowali, by przywódcy, szczególnie ze sfer inteligencji, sposobem życia asymilowali się ze sferą robotniczą. Należał do nich Bakunin. Według innych syndykalizm ma być tem remedium przeciwko oligarchji przywódców. Jednakże system organizacji opierający się, podobnie jak w organizacjach politycznych, na przedstawicielstwie, zastępującym interesy masy, daje przywódcy wiele sposobności do potęgowania swej władzy. Strejk zawodowy nastręcza często przywódcom sposobność do wzniesienia się na wysokie stanowiska społeczne.

Pozostają wreszcie anarchiści. Potępiają oni autorytet jako punkt wyjścia dla niewoli.

By się uchronić przed oligarchicznymi rządami przywódców, rezygnują z tworzenia partji w ściślejszym słowa znaczeniu. Nie wiąże ich żadna dyscyplina. Jednakże wszystkie ich usiłowania nie zdołają zabić naturalnej żądzy władzy u ich przywódców. Tylko środki, którymi się posługują należą do arsenału porzuconych już dawno w innych partjach demokratycznych. W miejsce rządu nad organizacją występuje rząd nad duszami.

Mówca, propagandysta oto władca w ich szeregach. Niektórzy z nich uznają jednak potrzebę kierowania technicznego masą, a to jest punktem wyjścia do zdobycia panowania nad masą.

Czy oligarchiczna choroba współczesnej demokracji jest uleczalną?

Większość szkół socjalistycznych wierzy w urzeczywistnienie demokracji. Istnieje jednakże grupa uczonych konserwatywnych, która neguje możliwość urzeczywistnienia ideałów demokracji, sprowadzając rozwój dziejowy do zasady bezustannej walki mniejszości z większością. Jedna mniejszość ustępuje miejsca drugiej; ta ostatnia chwyta w ręce rządy nad masą. Ojcem tej teorji jest Ludwik Gumplowicz i Hipolit Taine. Z nowszych uczonych' wybitnymi jej szermierzami są prof. prawa w Turynie Gaetano Mosca i Vilfredo Pareto prof. ekonomji politycznej w Lozannie.

Jest rzeczą ciekawą a jednak mało znaną, że już poprzednicy socjalizmu jak Saint-Simon, Fourier byli zwolennikami ustroju społecznego, opartego na systemie hierachicznym. Proudhon, w dziele „Idée Génerale de la Revolution en XIX Siécle" podkreśla oligarchiczne tendencje grupy rządzącej w republice, a zatym najwyższej formie ustroju demokratycznego

Zwolennicy idei Marxa dążą do stworzenia państwa, w którymby zniesioną była własność prywatna środków produkcji. Zarząd majątkiem tego rodzaju organizacji społecznej państwa wymaga armji urzędników. Z tego powodu nasuwają się właśnie wątpliwości, których konsekwentne przemyślenie prowadzi do wniosku, że jest rzeczą wogóle niemożliwą utworzenie państwa bezklasowego. Zarząd olbrzymim majątkiem, chociażby on był własnością kollektywną, daje zarządcy taką sumę władzy, jakgdyby sam był posiadaczem wielkiego prywatnego majątku.

Czy instynkt naturalny przekazania swym potomkom raz zdobytego stanowiska przestanie tam działać? W przeciwnym razie powstanie znów panująca mniejszość. Marx wyraźnie mówi o epoce dyktatury proletarjatu t. j., mniej euphemistycznie się wyrazając, dyktatyry tych przywódców partji socjal. dem. którzy w jej imieniu zdołają wyrwać sfer rządu z rąk burżuazji. D y k t a t u r a g r u p y o l i g a r c h ó w n i c z y m s i ę w i s t o c i e n i e r ó ż n i o d d y k t a t u r y j e d n o s t k i. Można przypuścić, że grupa, która w ustroju kollektywnym dojdzie do władzy, postara się już oto, ażeby tej władzy z rąk nie wypuścić.

Wywody wyżej przytoczone dają przeciwnikom demokracji wiele argumentów do rąk. Wskazują oni na to, że rozwój ludzkości jest niemożliwy bez klasy panującej, która tylko zmienia swą formę. Ogół nie będzie nigdy zdolnym do rządzenia sobą.

Teorja ta nie stoi bynajmniej w sprzeczności z teorją materjalistycznego pojmowania dziejów. Owszem uzupełnia ją. Podług jednej walka klas wypełnia dzieje ludzkości, podług drugiej walka klas przyczynia się do stworzenia nowej grupy oligarchów, która zajmuje miejsce starej. Proces rewolucji socjalnej nie spowoduje w wewnętrznej strukturze masy żadnej zmiany. „Z w y c i ę ż ą s o c j a l i ś c i a l e n i e s o c j a l i z m".

Skoro poziom oświaty podniesie się wśród mas, niezawodnie oligarchiczne zakusy przywódców będą w znacznym stopniu paraliżowane. Niewątpliwie, że wyższy poziom wykształcenia wśród mas będzie tworzył zaporę do znacznego rozwielmożnienia się tych tendencji oligarchicznych, usunąć ich jednak w zupełności nie zdoła. Leży to bowiem w naturze masy, nawet zorganizowanej, że nie jest kompetentną do rozwiązywania spraw, stojących przed nią, że zawsze istnieć musi podział pracy, specjalizacja i przywódcy.

* * *

Tyle Michels.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że oligarchiczne tendencje przejawiają się istotnie w łonie współczesnej demokracji. Kto miał sposobność bezpośrednio obserwować przez dłuższy czas życie jednej z wielkich partji politycznych ten mógł się o tym dowodnie przekonać.

Jednakże nie można stąd wyciągać wniosków w rodzaju tego, że w stosunku do prądów społecznych, dążących do urzeczywistnienia demokracji, należy zająć stanowisko obojętne, gdyż — jakby z rozumowania Michelsa wynikało — ostatecznym ich rezultatem będą zawsze rządy grupy oligarchów.

Jakość bowiem tych rządów oligarchicznych będzie się coraz bardziej doskonalić. . Dla społeczeństwa nie jest rzeczą obojętną jaka grupa oligarchów nim rządzić będzie; sam Michels przyznaje, że z rozwojem oświaty wśród najszerszych mas, tendencje oligarchiczne przywódców natrafią na znaczne zapory. Widzimy, że inteltgentniejsi robotnicy nie odnoszą się wcale bałwochwalczo do swoich wodzów, a ostrzem krytyki względem ich działalności posługują się często. Zresztą fakt rywalizacji pomiędzy przywódcami jest środkiem z którego masa będzie zawsze czerpać pomoc dla paraliżowania zakusów oligarchicznych swych przywódców. Współzawodnicy otwierają masie oczy na pewne fakta, na któreby może sama nie zwróciła uwagi.

Widzimy nakoniec, że urządzenia społeczne udoskonalają się, a uświadomione masy starają się tym przeobrażeniom nadać taki charakter, by on jak najwięcej zabezpieczał wolność jednostki.

Franciszek Dorosz

Mnichy i Papieże.

2)

(Ciąg dalszy).

Gebhart wprowadza nas w głąb atmosfery średniowiecznej, odsłaniając tuż przed oczyma naszymi źródła rodzącej się ideologji chrześcjańskiej. Przenika on do samego dna otchłanie mistyki religijnej, zna strzelistość wiary i natchnienia dusz spalających się od żaru uczuć, ale, zarazem, nie traci z oka praw rezumu, praw i obowiązków zdrowego myślenia. Ogarnia równie sprawiedliwym i rozumiejącym sądem naiwną wiarę świętych, uciekających od świata, i wszechwładne ambicje papieży, torujących Jezusowi drogę do zwycięztw za pomocą ognia, żelaza i klątwy.

Dla nas, Polaków, poznanie owych kuźnic pierwotnych, w których rodziło sie i krzepło chrześcjaństwo, posiada osobliwą wagę. Wszak stamtąd przyszła do nas ideologja i filozofja katolicyzmu; przyszła przed tysiącem lat, a trwa po dzień dzisiejszy w olbrzymiej większości społeczeństwa. Ideologja katolicka była jakoby atmosferą, której ciśnienie nieprzerwane, acz niedostrzegalne, wywierało wpływ na wszelkie zdarzenia, na wszelkie działania zbiorowe, domieszało się do historji i wreszcie śladem niezatartym wrosło w charakter narodowy.

Ileż strun, ręką Kościoła nawiązanych u serca i duszy Polaka, daje odzew jedynie pobudkom i hejnałom katolicyzmu! Państwo polskie było budową, która powstała, rozrosła się i rozpadła w obrębie katolicyzmu. W jego atmosferze narodziło się i w niej również skonało. Z ręki katolicyzmu, otrzymaliśmy, jako państwo, chrzest pierwszy i ostatnie pozgonne namaszczenie. Po rozbiciu państwa, gdyśmy jako potęga polityczna istnieć przestali, katolicyzm zawarł się nad głowami naszymi, jak nad głowami rozbitków zamyka się głuchy krąg topieli, pogrążając naród cały w letargicznym śnie, pełnym majaków, chorobliwych wizji i urojeń.

W ciągu wieków, nazbyt często pielgrzymowaliśmy do Rzymu i do wielkich stolic katolicyzmu z pietyzmem kornej pobożności, z myślą przetrawioną od gorączki mistycznej, z oczami chorymi od płonącej wiary.

Niepłonną tedy odniesiemy korzyść, gdy te same miejsca, te same wieki, te same instytucje oglądać pójdziemy okiem chłodnej spostrzegawczości, gdy je zbadamy trzeźwo i przenikliwie, bez nienawiści i uprzedzeń, ale sumiennie i krytycznie.

Emil Gebhart nieporównanym w tej wycieczce stanie się dla nas przewodnikiem i oświecicielem.

Niema w dziejach chrystjanizmu ery ciekawszej pod względem charakterystyczności życia religijnego, niż lata dotykające roku 1000. Era ta obnaża przed nami samą istotę chrześcijaństwa, zdanego własnym siłom i żywiołom. Czynniki ietelektualne, pochodzące z kultury antycznej, wygasły już podówczas niemal doszczętnie. Swit dalekiego natomiast *Odrodzenia* jeszcze nie zapalał się w duszach, pogrążonych w mroku. Wiara wzbijająca się aż pod szczyty nieba, i wie-

dza rozumowa zdeptana, rzucona w proch, — oto dwa biegunowe znamiona owego czasu. Ziemia i życie ziemskie straciło w oczach współczesnych wszelką wartość i samoistność: stało się ono wątłą i chwiejną kładką między niebem a piekłem, zawieszoną nad przepaścią pokus, strzeżoną przez chóry aniołów, a szturmowaną jednocześnie od tłumu szatanów.

Rok tysiączny, wedle udręczonej wyobraźni ludów, miał stać się kresem świata: „Wierzono, — czytamy w jednej z kronik, — iż prawa żywiołów, rządzące dotychczas przyrodzeniem, runą w odmęt chaosu i nastąpi koniec nieuchronny rodzaju luzzkiego". Zdaje się atoli, że tradycja późniejsza oraz fantazja poetów przesadziła doniosłość owej wiary i grozę owych oczekiwań. Ani mistyczny cesarz Otton III, ani Gerbert papież zasiadujący na stolicy apostolskiej w roku 1000 nie objawiali trwogi zbytniej przed końcem świata.

Tragizm epoki owej, utrzymuje słusznie Gebhart, tkwił gdzieindziej, tragizm stokroć głębszy i donioślejszy po nad zgrozę przelotnych trwóg wyobraźni rozognionej od żarów i tajemnic Apokalipsy. „Zburzenie świata" w tej postaci, w jakiej go maluje straszliwa pieśń *Dies irae*, byłoby katastrofą nie do naprawienia, to prawda, ale przynajmniej dałoby ono spokój wieczny ludzkości. Nieszczęściem nierównie, być może, większym, jakie podówczas zwaliło się na ludzi, było zaćmienie umysłowości. Ani wieszczby Dawida, ani księgi prorocze Sybilli nie przepowiadały tego kataklizmu, który huraganem zniszczenia przeszedł skroś ducha ludzkiego, przygniatając umysł i mącąc samowiedzę człowieka.

Dzieje kataklizmu, będącego kataklizmem ciemnoty i zmroczenia rozumu, odtwarza Gebhart na podstawię kroniki mnicha średniowiecznego Raula Glabera. Ów Glaber, kronikarz, był jedną z najżałośniejszych ofiar kataklizmu ciemnoty. Dziewięć stuleci zaledwie przedziela go od nas, a więc bliższy nam jest od Tacyta i Seneki: atoli ze stanowiska umysłowości teraźniejszej zda się nam ginąć z oczu, gdzieś po za widnokręgiem historji, w niedosiężonej i zamierzchłej dali, we mgłach przeszłości, gdzieś poza Heraklitem i Herodotem. W świetle kultury dzisiejszej rozpływa się on poprostu w postać bajeczną.

Psychologiczna metoda Gebharta, w zastosowaniu do kroniki burgundzkiego mnicha, święci prawdziwy tryumf. Autor prześwietla promieniem krytycznym jedną ubogą, maleńką duszę człowieka wierzącego, jedną naiwną duszę, wybraną z pośród miljona, może z pośród wielu miljonów dusz do niej podobnych, i na ślepocie jej demonstruje ogrom ślepoty wieku. Wprowadza nas do labiryntu duszy indywidualnej, odsłania jej przeżycia, wykrywa troski, odgaduje sny i niepokoje, i z owych przeżyć, trosk, owych snów, wyobrażeń i niepokojów pozwala odbudować świat rzeczywisty, środowisko zewnętrzne, w którym dusza taka, w którym miljony dusz podobnych, żyć mogły i musiały.

To prawda, że osobistość Glabera, poddana światłu krytyki, staje się dla badań przedmiotem niezmiernie podatnym. Jest to osobistość szczera i otwarta. To wszystko, o czym opowiada, widział na własne oczy, lub słyszał od świadków naocznych na własne uszy; w fakty, które podaje wierzy równie mocno jak w Trojcę Swiętą i w Szatana.

Wędrując po klasztorach, zażyłe stosunki nawiązał z dwoma lub trzema świętymi, których życiorysy utwalił w swej kronice. Życiorysy te pozwalają nam zapoznać się z wyobrażeniami o typie człowieka doskonałego wedle ideałów ówczesnych. W takim, naprzykład, żywocie św. Wilhelma z Dijon'u, jak sądzić mamy wszelkie prawo, Glaber kronikarz dał nam miarę własnego swego chrystjanizmu. Otóż z apostolstwa przyjaciela swego jedynie drobne cnoty umie on zapamiętać, tylko na dziecinne cudy zwykł zważać, na reguły pobożności pod klauzulą klasztorną. Spiewanie psalmów, bicie w dzwony,—oto główne zajęcie Wilhelma, w pierwszych chwilach pustelnictwa. Szuka on klasztoru, gdzieby mógł dowoli i bez granic oddać się tym łatwym rozkoszom. Powołany przez księcia do zreformowania konwiktów normadzkich, jaką jedyną nowość, ku ich zbudowaniu moralnemu, wprowadza psalmodję liturgiczną oraz pewien szczególny sposób odmawiania antyfony.

Jakie, atoli, książki polecał reformator ów młodym mnichom, aby uszlachetnić długie wolne chwile ich rozmyślań samotnych? Kronikarz nie rzecze o tym ani słowa; prawdopodobnie też i przeorowi nie postało to w głowie. Wynalazł on, istotnie taką metodę zbliżania się ku Bogu, która nacisk kładła nie na żarliwość serca, nie na polot myśli, ale na środki niemal mechaniczne obrządku, w którym wargi i usta wierzącego miały udział szerszy, niż jego duch; należało, mianowicie, powtarzać pewną liczbę razy szereg idących po sobie wyrazów: *Domine, Jesu, Rex pie, Rex domine, Pie Deus.* Do litanji tej dołączano w odstępach prawidłowych *Miserere* oraz *psalmy* pokutne. W ten sposób usiłowano wznieść się o kilka szczebli wyżej na zawrotnej drabinie rajskich szczęśliwości. A zarazem był to najskuteczniejszy przepis na niweczenie sideł djabelskich, których poszlaki oczywiste surowy asceta wskazywał braci zakonnej na każdym kroku. Zaklinał on swe owieczki na miłość duszy i zbawienia aby strzegły się golenia brody, lub czesania włosów w pewnym sposobie, albo czynienia ruchów nagłych, albo tupania nogą podczas miotania przekleństw: według pobożnego kapłana, były to wszystko poważne objawy opętania przez djabłów.

(C. d. n.) *St. Romanowski.*

NA DOBIE.

Za podszeptem Szatana.

W tym samym niemal dniu, kiedy *Nowoje Wremia* potępiło ukaz tolerancyjny, jako wypływający „nie z potrzeb państwowych, lecz z pojęć obstrakcyjnego humanizmu" — warszawski katolicki *Dziennik Powszechny* pisał co następuje:

„Jednym z haseł wszelkich partji postępowych musi być z natury rzeczy „tolerancja". Wymaga tego kult — niezależności przekonań. Bardzo to dobrze brzmi w programach, obliczonych na grube efekty, — wyznawanie tolerancji bezwzględnej. Lecz życie zakreśla w stosowaniu tego pojęcia ściśle granice, uwzględniając zasady tolerancyjne tylko pod pewnymi warunkami, stosując ją pod pewnymi względami.

Tolerować wszelkich przekonań — nie podobna. Zastosowanie w życiu bezwzględnej tolerancji zburzyłoby porządek społeczny. Wszak... dla dobra ogółu musimy zwalczać bandytyzm. Toż samo da się powiedzieć o każdej działalności występnej, znajdującej się w kolizji z potrzebami i zazadniczymi dążnościami społeczeństwa; taką działalność należy poddać najostrzejszej cenzurze".

Jak widać, w sześć lat po ukazie tolerancyjnym, kler katolicki w Polsce żywi te same uczucia, co i kler prawosławny, a nawet wyraża je w identycznej formie, co jest rzewnym dowodem duchowego pokrewieństwa.

Dziennik Powszechny zatym, zwalczając tolerancję, wślad za gazetą *Nowoje Wremia* powołuje się na „życie" oraz „potrzeby i dążności i społeczeństwa" — przyczym w zupełnej harmonji z „życiem", jako wyrazicielem „potrzeb i dążności" społeczeństwa — jest oczywiście kler: tam bizantyński, tu — rzymski.

Rzecz szczególna: o potrzebach i dążnościach życia społecznego w wieku XX sądzą tu arbitralnie ci, których na Zachodzie w imię tych właśnie potrzeb

bądź usunięto z widowni politycznej, bądź obezwładniono rozdziałem kościoła i Państwa, bowiem zawsze i wszędzie stawali życiu na przekór, o własne tylko dbając korzyści.

Jak dalece nasz kler katolicki jest niepoprawny w swoich nałogach świadczy wymowny fakt, że mając do wyboru: bronić tolerancji, która wszak i jemu zapewnia wielkie korzyści w Państwie, czy potępić wolność sumienia, powołującą do życia nowe formy religijne—wybrał to ostatnie! Wolał się więc wyrzec moralnie prawa korzystania z wolności propagandy religijnej, niźli pozwolić na szerzenie się bezkarne „imprez sekciarskich" tuż pod swoim bokiem.

Na jedną z tych właśnie „imprez", a mianowicie na sektę „badaczy pisma św." uderza gwałtownie *Dziennik Powszechny* w artykule „Pod pretekstem tolerancji" odpowiadając na nasze w tej sprawie uwagi zawarte w Nr. 42 *Prawdy*.

Wspomniany artykuł tak jest charakterystyczny dla sposobu myślenia i polemiki sfer klerykalnych, że warto się nad nim zastanowić.

Przedewszystkim więc, polemizując z nami na trzech szpaltach, *Dziennik Powszechny* nie przytoczył *ani jednego* słowa z naszych twierdzeń. To mu nie przeszkadza twierdzić, że jest organem „zawsze gotowym do dyskusji rzeczowej w każdym przedmiocie", które to właśnie „rzeczowe traktowanie wszelkich kwestji społecznych niepokoi wrogów katolicyzmu".

Po takim obiecującym wstępie można już sądzić o dalszym ciągu.

A w dalszym ciągu twierdzi *Dziennik Powszechny* że „*badaczami* wszelkich zabytków historycznych mogą być tylko ludzie nauki przy dzisiejszym poziomie wiedzy". Ponieważ twórcy i misjonarze nowej sekty nie mają stopni naukowych, przeto odmawia im *Dziennik Powszechny* prawa do badania Pisma św., zaliczonego w... poczet „zabytków historycznych".

Tam do licha! Na nic niepamiętny, snadź za podszeptem Szatana, wypisuje *Dziennik* takie niebaczne zdanie:

„Badaczem" teorji naukowej lub wogóle wszelkich objawów życia może na serjo być tylko uczony. A cóż rzec o badaniu „Pisma św.", któremu poświęcają się najtęższe głowy, najwybitniejsi uczeni. Bajdurzyć na „każdy" temat potrafi byle jaki nieuk, a szczególniej obdarzony sporym zasobem arogancji, lecz serjo *badać* objawy życia, — a już tymbardziej dokument tak doniosły, skomplikowany i trudny, jak „Pismo święte" — może tylko uczony, posiadający i wiedzę głęboką i wybitne zdolności."

I sam tego nie postrzegając, popadł *Dziennik* w 3 ciężkie herezje: racjonalizm, modernizm i niemojewszczyznę. Oto do czego wiedzie zbyteczna a niepowściągniona żarliwość!

Według bowiem kanonów kościoła jest Pismo św. bynajmniej nie „zabytkiem historycznym" lecz aktem objawienia, do którego trzeba przystępować raczej z zaufanym sercem prostaczka, niźli z „mędrca szkiełkiem i okiem".

Religijnie poprawny zatym stosunek do Pisma św. jest w danym wypadku po stronie „sekciarskiej imprezy" gdy tymczasem katolicki *Dziennik* staje nagle na stanowisku modernisty lub bezwyznaniowca, traktując największą swoją świątnicę, jako zabytek historyczny, podległy ścisłemu badaniu uczonych i zimnych specjalistów...

I jeszcze powiada niepoprawny *Dziennik* z niefortunnym zgoła przekąsem:

„Gdyby ktoś niepowołany, nie posiadający odpowiedniego wykształcenia, wziął się do komentowania dzieł dajmy na to „Kanta" lub „Spinozy", — wyśmianoby go bez litości w „uczonym" obozie postępowym. Wówczas o „tolerancji" zapomnianoby z kretesem".

Ależ, biedny *Dzienniku*, ani Kant, ani Spinoza nie byli pono bogami, nie dali światu religji, nie pisali swoich dzieł pod wpływem „objawienia", lecz według ścisłych praw logiki, na fundamencie olbrzymiej wiedzy i erudycji. To też nieuk, komentujący Kanta, byłby niewątpliwie pośmiewiskiem uczonych, a żądać dla niego „tolerancji" może tylko ten, kto nie pojmuje wyrazu „tolerancja" ani jej we właściwy sposób nigdy nie stosował.

Jeśli chłopię w szkole twierdzi, że 2 razy 2 jest 5 toć żadna chyba „tolerancja" nie przeszkodzi postawić mu jedynki z tabliczki mnożenia.

Ale jeśli jakakolwiek grupa ludzi zapragnie komentować Pismo św. na swój sposób, bo ich wewnętrzne *religijne* przekonanie nie chce zadowolić się tekstem uznanych w Kościele egzegetów — to wówczas elementarny zmysł tolerancji wyznaniowej i swobody sumienia każe dążności te uszanować, choć bezsprzecznie można ich nie podzielać, ani też z nimi nie współczuć.

A jeśli *Dziennik Powszechny* bije z tego powodu na alarm — to wybrał się o cztery wieki zapóźno.

Nie po to wstrząsnęła światem olbrzymia burza Reformacji, by dziś nawet w polskim nad Wisłą zaścianku wolno było kwestjonować prawo swobodnego czytania i komentowania Biblji, prawo, które legło w osnowie przodującej dziś ludom kultury anglosaskiej, łączącej głęboki zmysł religiny z zupełną niezależnością myśli i wiedzy.

Jeszcze jeden hrabia oryginał,

Nasi magnaci różnią się od ludzi zwykłych nietylko barwą krwi pono błękitnej, ale i odrębnym, zgoła swoistym sposobem działania i myślenia; mają też oni własne, szczególne kłopoty i własne, osobliwe troski.

Więc tedy troska się Michał hr. Tyszaiewicz o to, by się świat koniecznie dowiedział o „roli wolnomularstwa w dziejach Rosji" i w tym celu składa rs. 1000 na ręce rektora katolickiego uniwersytetu w Lowanium; Ignacy hr Korwin Milewski martwi się, że płodna idea Puryszkiewicza i Markowa niedość jest w Polsce popierana, więc popiera ją na swój sposób; Juljusz hr. Ostrowski usilnie się stara niedopuścić do kraju książek będących na indeksie rzymskim, by za się wieźniowi Watykanu przykrości nie przysparzać; Józef ks. Lubomirski, pan możny i wspaniały, gryzł się niepomiernie upadkiem romansów kryminalnych we Francji i obdarzył społeczeństwo tamtejsze kwotą 25,000 franków specjalnie w tym celu, by rozwinąć się mógł na nowo *le roman d'aventures*... Wreszcie Adam hr. Orłowski w Paryżu w roku zeszłym mozolił się publicznie nad wpojeniem we Francję przekonania o „*Konieczności unji pansłowiańskiej pod berłem Rzymn* i wyznaczył nawet nagrodę za najlepszy w tej mierze pomysł...

W roku zaś bieżącym, d. 25 października, ten-że hr. Adam Orłowski wygłosił w paryżu odczyt p. n *La Pologne à Agadir*.

Była to sensacja nielada! Sama zapowiedź prelekcji na taki szczególny temat wprawiła korespondenta *Kur. Warsz.* w Paryżu w stan osłupienia, bowiem wyobraził on sobie, że Królestwo Polskie wysyła swój pancernik *Pan Tadeusz* na wody marokańskie wślad za niemiecką *Panterą*...

Wzburzony, pobiegł na odczyt hr. Orłowskiego, a z wrażeń tam doznanych nieomieszkał na łamach *Kurjera* złożyć ścisłej relacji.

W prelekcji hrabiego było wszystko prócz zdrowego sensu. Porównawszy obecne rządy francuskie do rządów Polski przedrozbiorowej hrabia — prelegent wykazał przytomność umysłu tabetyka z Bożej łaski: posądza on mianowicie rząd niemiecki o kradzież Mouny Lizy. To posądzenie świadczy, że jaśnie oświecony mówca oświeca się wyłącznie lekturą

pism humorystyczcych, co w jego sferze zyskało mu renomę niezwykłego erudyty.

Niezmiernie rozumnych i głębokich wynurzeń hrabiego słuchało, między innymi, kilku dziennikarzy polskich i kilka wybitnych osobistości z kolonji polskiej w Paryżu. Byli i przedstawiciele prasy francuskiej... „Ruchliwy i uprzejmy p. Kazimierz Woźnicki był gospodarzem sali" pisze grzeczny korespondent *Kurjerka*.

Co mówili między sobą przedstawiciele prasy francuskiej — łatwo domyśleć się można. Ale trudniej zgadnąć, z jakiej racji prelekcje niepoczytalnego hrabiego uświęca swoją obecnością „kilka wybitnych osobistości z kolonji polskiej w Paryżu" ani też, dlaczego uprzejmy i ruchliwy p. Kazimierz Woźnicki, reprezentant naszej endecji nad Sekwaną, pomaga czynnie w organizacji tego rodzaju popisów, które nam ani chluby nie przynoszą, ani powagi w oczach świata przysporzyć chyba nie mogą.

„Tajfun" w Paryżu.

Głośna sztuka Lengyela zawędrowała wreszcie nad Sekwanę *via* Berlin—Warszawa; w tych dniach wystawił ją z powodzeniem teatr Sary Bernard, w przekładzie i przeróbce S. Basset'a.

Basset, zbadawszy tekst oryginału, przekonał się, że akcja powinna toczyć się w Berlinie, a sąd w akcie trzecim jest w oryginale sądem niemieckim. *Il y a des juges à Berlin!*

Ale nad Szprewą powiedziano sobie, wystawiając tę sztukę:

— Takich tępych sędziów w Niemczech niema. Wygląda to zgoła nieprawdopodobnie. Trzeba im dać inną narodowość.

I nie wiele myśląc, stawiono d-ra Tokeramo przed trybunał francuski, który pośpieszył go uniewinnić. W Berlinie uznano to za bardzo naturalne. W Warszawie również.

Ale gdy „Tajfun" zawitał na plac *Châtelet*, poznano się na farbowanych lisach i przywrócono sędziom ich właściwe niemieckie oblicze.

Nie zmienia to postaci rzeczy, bo szale Temidy na całym globie dzierżą pono jedne i te same dłonie.

Sezon operowy.

Na początku października Opera warszawska rozpoczęła swój tegoroczny sezon wystawieniem głośnej nowości Giacome'a Puccini'ego „Dziewczyna Zachodu".

Ostatnie to dzieło wielkiego kompozytora włoskiego wystawione było po raz pierwszy przed kilku zaledwie miesiącami w Ameryce, dla której było przeznaczone, z uznaniem więc zwrócić się należy do dyrekcji naszej sceny operowej, że, wbrew dawnym tradycjom, które kazały nam zwykle „dość" długo oczekiwać na ukazanie się wszelkich nowości, mieliśmy możność zapoznać się w tak prędkim czasie z nowym dziełem Puccini'ego, o którym dochodziły już nas interesujące wieści z prasy zagranicznej.

W wiadomościach tych nie było zbytniej przesady i aczkolwiek „Dziewczyna Zachodu" nie dorównywa pod względem wartości artystycznej poprzednim operom Puccini'ego, takiej „Tosce" np. czy „Madame Butterfly", jest jednak bezwątpienia dziełem wybitnego talentu, dziełem, godnym imienia swego wielkiego twórcy.

Treści poetyckiej dostarczyli kompozytorowi G. Civinini i C. Zangarini (podług dramatu Dawida Belaska) i poza pewnym wydłużeniem (akt I-y) odpowiada ona w zupełności swemu zadaniu, zawierając niejeden wysoce dramatyczny szczegół, dający się doskonale wyzyskać muzycznie.

Rzecz dzieje się w Kalifornji u stóp niebotycznych gór (bardzo ładne dekoracje w III-im akcie), dokąd ściągnęła różnorodna rzesza poszukiwaczy złota. W tym to ponurym środowisku rozgrywa się dramat, którego bohaterami jest: Mimi (p. Skwarecka), Dick Johnson (p. Dygas) i Jack Ronce (p. Metaksian). Poza wymienionymi wyżej, opera zawiera jeszcze dużo pomniejszych ról, traktowanych epizodycznie, więc zespół przedstawia się dość imponująco i wymaga licznych wykonawców.

Wystawienie „Dziewczyny Zachodu" świadczy pod każdym względem o energicznej pracy i wielkiej staranności wszystkich wykonawców. Na szczególne zwłaszcza uznanie zasłużyła orkiestra, która pod wodzą swego utalentowanego kierownika p. Piotra Cimini'ego nadzwyczaj korzystne sprawiła wrażenie subtelnym traktowaniem swej trudnej partji. Z wykonawców zaś partji wokalnych wysunęła się na pierwszy plan p. Hanna Skwarecka, młoda, wielce obiecująca śpiewaczka i p. Ignacy Dygas, wybitny tenor, który się cieszy u nas stałym powodzeniem.

Pod dobrą więc wróżbą rozpoczął się sezon operowy, który według wydanej przez dyrekcję broszurki, zawierającej projektowany program tegorocznej kampanji, zapowiada się bardziej interesująco niż zwykle, zarówno ze względu na dobór dzieł jak i poszczególnych wykonawców.

Z nieznanych nam dzieł prócz wystawionej świeżo „Dziewczyny Zachodu" usłyszymy: „Mazepę" Czajkowskiego, „Potępienie Fausta" Berlioza, „Vendettę" Nougues'a, autora wystawionego w zeszłym roku „Quo Vadis" i „Marję" Wojciecha Gawrońskiego, zmarłego niedawno kompozytora polskiego.

Gościnnie występować będą pp.: Marja Aleksandrowiczówna Cervi-Caroli, Carmen-Melis, Matia Battistini, Giorgina Caprile, Wanda Stojowska i t. d., nadto stały personel powiększony został nowymi siłami. Odbyło się też już kilka występów nowozaangażowanych śpiewaków, o których wspomnimy w następnej naszej pogawędce, gdyż obecnie poświęcić należy jeszcze słów kilka Warszawskiej Orkiestrze Symfonicznej, która również rozpoczęła już swoją tegoroczną kampanję artystyczną, chociaż jak zwykle nieco później od opery.

15-go mianowicie października odbył się koncert inauguracyjny pod dyrekcją nowego kapelmistrza p. Zdzisława Birnbauma, powołanego na to zaszczytne stanowisko przez członków Warsz. Ork. Symfon. zamiast p. Grzegorza Fitelberga, który dotąd godność tę piastował, niemałe w tym charakterze położył zasługi i cieszył się też uznaniem i sympatją naszych miłośników sztuki muzycznej.

Powstrzymując się na razie od oceny kwalifikacji artystycznych p. Birnbauma, który, mówiąc nawiasem, potrafił już zdobyć sobie pewien rozgłos w Europie i Ameryce, przytaczamy poniżej wyjątek z artykułu *Przeglądu Muzycznego*, charakteryzujący podstawy, na jakich opierać się zamierza działalność Warsz. Ork. Symfon.:

„W dążeniu do wytkniętego celu, już drugi sezon koncertowy, otworzyła Warsz. Ork. Symfon. samodzielnie, na własne ryzyko, by usprawiedliwić swe żywe uczucia dla sztuki, by dowieść, że utrwalenie orkiestry symfonicznej u nas zależy w pierwszym rzędzie od samej orkiestry, od posiadania przez każdego z jej członków prawdziwego umiłowania pracy na obranym polu, dobrowolnego poświęcenia się i, co najważniejsze, od utrzymania w swych tylko ręku swoich spraw łącznie z naturalną odpowiedzialnością za własne czyny przed prawami piękna oraz przed wymogami kultury — odpowiedzialnością z jednej strony surową, niebezpieczną, z drugiej wdzięczną, bo na-

dającą każdemu z biorących udział w wspólnie powziętej pracy upoważnienie do samopoczucia godności artystycznej i obywatelskiej. Z pewnym onieśmieleniem zapewne nasza drużyna artystyczna w roku ubiegłym wchodziła na nową drogę istnienia — nieznaną i uciążliwą. Wiadomo, iż nawet najszczytniejsze dążenia spotkać się muszą ze spodziewanymi przeszkodami. Nasi muzycy umieli jednak stawić czoło wszystkiemu, co im życie ze strony ujemnej zaofiarowało. W zgodzie i porozumieniu członkowie Warsz. Ork. Symfon. starali się ukształtować wyraźnie swą moralną całość organizacyjną, bacznie usuwając pierwiastki dezorganizujące, paraliżując zamaskowane zakusy egoistyczne odosobnionych w dążeniach bardzo nielicznych zresztą jednostek. I to dlatego zapewne widzimy znów orkiestrę w Filharmonji — orkiestrę, złożoną z pełnych już hartu życiowego artystów, którym już wierzyć wypada. Praca ich niezawodnie spotkać się musi z poparciem publiczności i prasy".

Ze swej strony życzymy oczywiście Warsz. Ork. Symfon. jaknajwiększego powodzenia, na które ta sympatyczna instytucja ze wszechmiar zasługuje.

A. Zabłocki.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Ze wspomnień o Stojałowskim.* Jak to się dzieje (nietylko u nas) zazwyczaj, spotwarzany i gnębiony za życia bez miary, stanął ks. Stojałowski przed narodem po śmierci jako „wielki nieboszczyk". Ten niedoszły galicyjski Gambetta pod koniec swego życia zboczył na bezdroża i zagrzązł w niechlubnych kompromisach. To też w pismach, które go przez ćwierć wieku szczuły zjadliwie i metodycznie, czytamy dziś rzewne nekrologi:

Słowo Polskie otrzymuje od „wybitnej osobistości ze sfer ziemiańskich" garść uwag o karjerze politycznej zmarłego trybuna ludu, a szczególnie o „niesłychanych prześladowaniach", które go złamały w końcu i wpędziły na bezdroża. Wślad za *Słowem Polskim* przypomina i *Kurjer Warszawski*, jak to przed 35 laty ks. Stojałowski objeżdżał wybitniejsze dwory i mówił:

> Lud się budzi! chce sam głos zabierać w sejmie i parlamencie, marzy o lepszej doli i uszanowaniu przez was jego godności ludzkiej. Wy, starsi bracia, powinniście nie lekceważyć tego ruchu, lecz pokierować nim taktownie i po obywatelsku, bo gdy tego nie uczynicie, gotowi przyjść inni i pchnąć go na fałszywe tory, aby sami na tym zarobić mogli.

„Prorocze to były słowa — dodaje *Kurjer Warszawski* — ale wówczas uważano je w sferach ziemiańskich i rządowych za niebezpieczną herezję, za bunt społeczny.

I oto rozpoczyna się walka ze Stojałowskim, walka okrutna i bezwzględna"... Jakoż faktem jest, że Stojałowski 10 lat przebył w więzieniach, dzięki zabiegom krajowych sfer miarodajnych, zaś kler katolicki wyjednał dlań w Rzymie klątwę papieską...

Od tego czasu niewiele się zmieniły „szczyty" naszego narodu. Są jak dawniej zasklepione w kastowym egoizmie — „zimne i plugawe". Dowodem — świeże, zajadłe, nie cofające się przed niczym, kampanie przeciw *Zaraniu* i tym sferom ludowym, których gromki głos protestu zamieściliśmy w zeszłym numerze.

* *Beznadziejna głupota.* Donosiliśmy niedawno w notatce „Amerykańscy Polacy wobec Rzymu", że korespondent *Słowa Polskiego* dojrzał „groźne niebezpieczeństwo" dla narodu w rozwoju Kościoła Narodowego Polskiego, który parafian polskich broni od tumanienia i wyzysku przez chciwych irlandzkich i niemieckich biskupów.

Obecnie znów, pisząc o Stojałowskim, uderza *Słowo Polskie* w ten sam ton bezmyślnej trwogi:

> Była chwila, że całe stronnictwo ks. Stojałowskiego, które wówczas liczyło blizko miljon włościaństwa (cyfry te bardzo łatwo odnaleźć w liczbie prenumeratorów gazetek jego, i tych, co z nim głosowali przy wyborach), że ta liczba włościaństwa polskiego ***mogła odpaść bezpowrotnie od kościoła.***
>
> Wszak prawo kościelne każdego wyklętego, który do roku nie przeprosi i przebaczenia nie uzyska, przestaje uważać za członka kościoła! Ludzie, których wprost fanatyzowano, prowadząc księdza Stojałowskiego w kajdanach (jak to się stało w Sanoku) i przez coraz inne prześladowania, spadające na ich ukochanego wodza, odpowiadali księżom, pragnącym ich od wyklętego oderwać, mówiącym im, że pójdą do piekła: „Tak! niech będzie i do piekła, ale go nie ostąpimy!" A tu czas uchodził, rok dopływał!... I gdyby nie gorące wezwania stronnictwa chrześcijańsko-socjalnego we Francji, które choć z daleka, obliczało niebezpieczeństwo lepiej, niż my z blizka, i które tam ks. Stojałowskiego zaciągnęło, aby w otoczeniu osób współczujących i życzliwych mógł ochłonąć i opamiętać się, coby się było stało!... Pytanie ***naprawdę straszne,*** nad którym godzi się rozmyślać i które godzi się zapamiętać! A cóż dopiero mówić o tym, że wówczas wyklętymi doprawdy w opinji publicznej w kraju byli ci, co chcieli rękę podać ks. Stojałowskiemu i dopomódz mu do jazdy do Rzymu. I nic społeczeństwo w tej przełomowej chwili nie miało, aby ustrzedz ***miljon ludu polskiego od zerwania z kościołem***
>
> Zdaje się to niepodobne do wiary, a jednak.. tak było!"

Coby się było stało — woła organ endecji z przesądną trwogą — gdyby zabiegi kleru francuskiego spełzły na niczym i gdyby Stojałowski nie ukorzył się przed tronem hiszpańskich i włoskich kardynałów!!?

Pytanie „naprawdę straszne" dla galicyjskich „głów do pozłoty". Oto miljon ludu polskiego odpadł by od Rzymu — i stał by się polskim naprawdę. To by nas może uczyniło mniej podobnymi do Irlandczyków, Sycyljan i Basków, a bardziej podobnymi do Czechów, Anglików, Szwajcarów. Straszna zaiste perspektywa!

* *Demokratyzacja dobroczynności.* Dotychczas nasze instytucje dobroczynne wspierały się na ofiarności klas wyższych społeczeństwa, obecnie zaszła niewątpliwa pod tym względem zmiana. Wita ją z uznaniem zachowawcze *Słowo* stwierdzając, że stało się to za sprawą dobroczynnego *kwiatka.*

Trzy próby przedsiębrane w tym roku przez trzy towarzystwa (Patronat nad Więźniami, Tow. Dobroczynności, Tow. Przeciwgruźliczne) dowiodły, że masy ubogie, ale społecznie dojrzałe, dały chętnie kilkadziesiąt tysięcy rs. w miedzianych i srebrnych monetach i dawać będą nadal, bo, jak słusznie zauważa *Słowo*:

> Ma się tu do czynienia nie ze szczęśliwym pomysłem, który należy pośpieszyć się wyzyskać, ale z nową i płodną zasadą, która na dobroczynności publicznej XX-go wieku wyciska odrębną fizjonomję od dawnej dobroczynności.

Rzecz znamienna: społeczna i obywatelska dojrzałość naszego ludu, nie mogąc ujawnić się w demokratycznych formach bytu i urządzeń politycznych, uzewnętrznia się oto w tej jednej dostępnej dlań dziedzinie — dobroczynności publicznej. Widomą oznaką dojrzałości obywatelskiej na Zachodzie jest w ręku robotnika biuletyn wyborczy; u nas tą oznaką jest biały lub różowy kwiatek wpięty w klapę surduta.

* *Poseł Napieralski kupuje.* Notatka nasza pod tym nagłówkiem zamieszczona niedawno wywołała w Częstochowie i Zagłębiu reklamacje.

Goniec Częstochowski mianowicie uczuł się w obowiązku sprostować błędną informację „bowiem klerykalny poseł Napieralski kupił z *Kurjerem Zagłębia* nie nasz *Goniec Częstochowski* lecz *Dziennik Częstochowski*".

Ze swej znów strony *Kurjer Zagłębia* przyznaje wstydliwie, że „poseł Napieralski wszedł jako jeden ze współwłaścicieli do *Kurjera Zagłębia* i *Dziennika Częstochowskiego*". Zarazem zaś zapewnia, że oba te pisma „w niczym dotychczasowego kierunku nie zmieniły i nie zmienią". Dla *Kurjera Zagłębia* może to być prawdą, bo zerwawszy ostatnio z endecją, teraz nie ma *żadnego* kierunku, nie może go więc zmienić.

* *Nowe pismo*. W Warszawie „Tow. Opieki nad Wychodźcami" poczęło wydawać swój organ, którego zeszyt 1 i 2 już się ukazał, pod nagłówkiem: *Wychodźca Polski*.

W słowie wstępnym redakcja wspomina o znaczeniu wielkim jakie odgrywa w naszym życiu społecznym ruch wychodźczy, i dowodzi konieczności współdziałania całego ogółu polskiego w celu uregulowania i ujęcia w łożysko tego ruchu. Następnie idzie szereg specjalnych prac wyświetlających sprawy wychodźcze. Pismo to jest wydawane raz na miesiąc.

Z prasy rosyjskiej.

* *Ostatnia sesja*. Wznowione w tych dniach obrady w pałacu Taurydzkim mimo niezwykle ważnych i drażliwych tematów związanych ze sprawą „ochrany" po zamachu kijowskim — niewielkie budzą zaciekawienie.

Ogół, zda się, machnął beznadziejnie ręką na trzecią Dumę i niczego się po niej nie spodziewa. Omawiając ten ogólny nastrój *Russk. Wiedomosti*, moskiewski organ kadetów, tymi słowy charakteryzuje postawę dumskiej większości:

„Centrum w ciężkim znalazło się kłopocie. Dawny kult frazesów narodowych przestał mieć rację bytu z chwilą, gdy nie budzi już w rządzie łaskawego poparcia. Praca znów twórcza nie może obejść się bez znienawidzonej opozycji. W tych warunkach ostatnia sesja trzeciej Dumy, nie rokując żadnych wartościowych nabytków w prawodawstwie, przyśpieszy zapewne rozkład *status quo*, nacechowanego zupełną sprzecznością formy i treści, a strzeżonego dotąd troskliwie przez październikowców z pomocą aktu z d. 16 czerwca".

Notatnik wydawniczy.

Ostatni numer **Steru** 8-9 wyszedł z druku i zawiera treść następującą: Jak się umężczyźnia nasze myślenie, p. J. Baudouin de Courtenay. — Wobec rocznicy, P. Kuczalskiej Reinschmit. — Równouprawnienie kobiet w prawie cywilnym, W. Łypacewicz. — Wpływ pracy zawodowej kobiet na stanowisko ich w rodzinie i społeczeństwie, L. Kalkstein Lewandowska. — Moralność jutra, Jadwiga Olszewska. — Mężczyzna, H. S. K. — Kobieta z przeszłością. — U steru. — Rolnicza uczelnia kobiety — Związek równouprawnienia kobiet polskich. — Kongres Międzynarodowej Ligi praw wyborczych, Teresa Lubińska. — Ciekawe przedsiębiorstwo kobiece w Berlinie, Józefa Gebethner. — Higiena a wyborcze prawa kobiet, Spr. — Reformy cywilnych praw kobiet. — Sprawy zawodowe. — W obronie własnego i dzieci honoru. — List do Jubilatki. — Echa. — Książki nadesłane do redakcji. — Odpowiedzi Redakcji. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Otrzymaliśmy z prośbą o zamieszczenie następujący komunikat:

Odezwa komitetu obywatelskiego budowy pomnika JULJUSZA SŁOWACKIEGO we Lwowie.

Nieznany za życia, skrzywdzony po śmierci, legł Juljusz Słowacki, pomazaniec Boży w obcej, ziemi zdala od granic Rzeczypospolitej, której sławę i dolę zamknął w nieśmiertelnej pieśni.

Jako straż wierna a czujna rozbiegł się Duch jego wszerz i wzdłuż ziem umiłowanych, w chwale wielkiej i majestacie, smutny tylko, że nie widać zorzy wyzwolin.

A wielkim pobudowano świątynie, mocarzom wzniesiono grobowce, las posągów chwali olbrzymy, jeno Król Duch samotny czuwa na rubieży.

I dziwić się tylko, że niema w Polsce miejsca, gdzieby stanął posąg poety, jako drogowskaz dla przyszłości.

Ochotnie więc wołać do ludu, bo, jeśli serca w nim jako dzwon czyste, jako spiż dźwięczne, — oddzwonią na odłos imienia poety.

Ofiary potrzeba, którą niech niesie naród ku swej własnej chwale!

Niech stanie posąg pierwszy w Polsce i niech rozwidnia dolę narodu!

Bo mały ten lud, co czcić nie umie swych największych i wyrzeka się swych proroków.

U granic Rzeczypospolitej — we Lwowie niech wzniesie się pierwszy posąg Słowackiego.

Niech śpieszą wszyscy na wołanie, wszyscy w narodzie i z datkiem bogatym i z groszem wdowim, by spełnić obowiązek wobec poety.

Zwracamy się do wszystkich po kolei, do wszystkich osób i stowarzyszeń na obszarze ziem polskich z wezwaniem do składek.

Niech naród złoży Królowi-Duchowi dostojny dar

Za Komitet obywatelski budowy pomnika Juljusza Słowackiego we Lwowie:

Dr. Józef Kallenbach, prezes. *Dr. Jan Kasprowicz*, *Franciszek Rowita-Gawroński*, *Dr. Tadeusz Rutowski*, wiceprezesi. *Dr. Wiktor Hahn*, sekretarz. *Dr. Władysław Ćwik*, zastępca sekretarza. *Wojciech Biechoński*, skarbnik. *Stefan Kossak*, zastępca skarnika.

Aniela Alexandrowiczówna, Dr, Jan Bołoz Antoniewicz, Michał Browiński, Marcelowa Chlamtaczowa, Gustaw Daniłowski, Dr. Bronisław Dembiński, Emanuel Dworski, Dr. Ludwik Finkel, Zygmunt Fryling, Dr. Bronisław Gubrynowicz, Dr. Michał Janik, Dr. Marjan Kukiel, Bronisław Lewicki, Juliuszowa Makarewiczowa, Dr. Jan Gwalbert Pawlikowski, Ludwik Baldwin Ramult, Edmund Riedl, Zygmuut Wasilewski.

Listy składkowe wydaje sekretarz Komitetu dr W. Hahn we Lwowie, Żulińskiego 11 A I p. Składk. pieniężne przyjmuje skarbnik Komitetu W. Biechoński we Lwowie, pl. Smolki 4 w Akcyjnym Banku Związkowym.

KRONIKA.

STAN OBECNY TOWARZ. PRZYJACIÓŁ NAUK W WILNIE. Z początkiem r. b. Towarzystwo liczyło 357 członków, mianowicie 14 honorowych, 7 protektorów, 12 korespondentów, 12 dożywotnych (którzy złożyli jednorazowe 100 rb. lub dar cenny) i 312 zwyczajnych (opłacających po 5 rb. rocznie). Z ogólnej liczby członków mieszka w Wilnie 142.

W r. z. Towarzystwo straciło kilku wybitnych

członków, jak: Józef Montwiłł, Mikołaj Brzeski, Zygmunt Gloger, Władysław Dybowski, Kazimierz Podernia...

W ciągu roku Towarzystwo Prz. Nauk. otrzymało w darze od 144 osób 4,990 przedmiotów.

Skatalogowany już księgozbiór Towarzystwa składa się z 8,255 dzieł w 12,782 tomach; najwięcej dzieł jest w języku polskim — 5,464, w rosyjskim — 1,192 w łacińskim — 753. Z wieku XV jest 5 dzieł, z XVI—63, z XVII—254, z XVIII—742. Nadto pozostało do skatalowania 13,947 dzieł w 21,154 tomach. Jóż teraz zatem książnica młodego Towarzystwa może być nazwana okazałą. W r. z. z daru osób prywatnych przybyło 2,396 dzieł w 3,814-tomach.

Dział rękopisów zbogacił się 82 plikami lub tomami z daru 19-tu osób.

Dochody w roku sprawozdawczym uczyniły 182 rb., wydatki 1,499 rb. Bilans wykazuje w stanie czynnym i biernym 2,749 rubli.

Głównym przedmiotem troski i zabiegów zarządu była budowa gmachu własnego. Teraźniejsza siedziba Towarzystwa, dom przy Nowej Alei, ofiarowany przez Józefa hr. Przezdzieckiego nie może już pomieścić rosnących stale zbiorów. Niepodobna ich ta ani uporządkować, ani ustawić, jak należy. Hojna ofiara p. Hilarego Łęskiego (20,200 rb.) i kredyt, wyjednany w prywatnym Banku handlowym w Wilnie (15,000 rb.) umożliwiły rozpoczęcie budowy. Za 11,300 rb. zakupiono plac przy zbiegu ulic Mostowej i Gazowej i na nim w r. z., kosztem 26,000 rb. wzniesiono pod dach mury. Na ukończenie gmachu potrzeba jeszcze około 25,000 rb. Towarzystwo ufa, że je znajdzie, poczym na nowej siedzibie roztoczy swoje skarby i rozwinie działalność.

PODATKI W KRÓLESTWIE POLSKIM. Podług urzędowego sprawozdania o wpływie podatków państwowych w latach 1907 — 1909, suma podatków w r. 1907 wynosiła w całym państwie 70,891 tys. rb., a w r. 1908—70,554 tys. rb. i w r. 1909—76,129 tys. rb. Największa suma podatków przypada na Królestwo Polskie: w ciągu 3-ch lat sprawozdawczych — prawie 1/5 całej sumy podatków państwowych. Największa suma podatków w Królestwie Polski m przypada na ludność wiejską (51,3 proc.), na prywatnych właścicieli ziemskich — 14,5 proc. i na mieszkańców miast 34,2 proc. Zauważyć się daje powiększenie podatków od właścicieli ziemskich i mieszkańców miast. Najregularniej podatki wpływają od właścicieli ziemskich i mieszkańców miast. Niedobory podatku były nieznaczne i corocznie zmniejszają się: odsetek niedoborów w Rosji i Syberji spadł do 41,1 proc., w Królestwie Polskim do 35,4 proc.

ZWIĄZEK SOCJALISTÓW POLSKICH W AMERYCE. Dnia 1 lipca r. b. organizacja socjalistów polskich w St. Zj., bratnia frakcji rew. P. P. S. macierzystej, liczyła 82 oddziały w różnych zakątkach Stanów i 1,439 członków, płacących składki. Jest to liczba stosunkowo maluczka w porównaniu z miljonowymi masami polskiego proletarjatu w Ameryce, ale dziwić się trudno, gdy wejrzymy w klerykalizm i morze ciemnoty, w którym toną te warstwy naszego Narodu i w kraju i na wychodźtwie. Na jesieni r. 1908-ego „Z. S. P. Am. pół.” liczył jeno 30 oddziałów i 575 członkow... Do rozwoju organizacji pono wielce się przyczynia świetnie i żywo redagowany oficjalny organ stronnictwa — tygodnik nowojorski — *Robotnik Polski.*

ROZWÓJ KLASZTORÓW W ROSJI. W r. 1909 Rosja posiadała 837 klasztorów, w tym 455 męskich i 382 żeńskich, z ogólną liczbą 80,388 mnichów i mniszek. W porównaniu z r. 1908-ym przybyło 1,101 mnichów i 7,327 mniszek. A więc w tej dziedzinie rosyjskiego życia nazieramy — oczywisty postęp i rozwój...

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy“ wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**
Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.